

Z pożogi



ELIZA ORZESZKOWA

Z pożogi

(WSPOMNIENIA)

I. DOM BATOREGO

Miałam lat siedm, a siostra moja Klemunia, zaczynała rok dziesiąty. Czytywałyśmy już wiele. W domu naszym istniała tradycja czytania i pisania po macierzystym dziadku, który był jednym z tych, co spisywali ogromne i często ciekawe *Silva rerum* i po ojcu naszym, uczonym prawniku, a niegdyś prezesie jednej z tutejszych łóż wolnomularskich. Księgozbiór ojca napełniał dwie wielkie i ciężkie szafy; szafka lekka, nieduża, ze zbiorem lekkiej i nowej literatury, zdobiła pokój naszej matki. Pozwalano nam brać książki ztąd i zowąd, czytać, ile i co się nam podobało. Myślą i wyobraźnią wcześniej zaczęłyśmy błądzić w krainie przeszłości; umiałyśmy na pamięć pieśni Niemcewicza, żywoty wielkich ludzi czytywałyśmy razem we dwie, skurczone w kątku jakiegoś pokoju, z rozpalonemiczółami, co chwila w uniesieniu i zapale ściskając się za ręce. Kochałyśmy się bardzo. Klemunia miała zdolność do rysunku, rysowała więc i wycinała z papieru domy, drzewa, ludzkie i zwierzęce postacie, z których układałyśmy i ustawiałyśmy sobie różne historyczne miejsca i sceny, jako to: pałace i dwory królów, hetmanów, wojewodów, wjazdy poselstw do zagranicznych miast, orszaki ślubne i t. p. Raz, w ten sposób, upostaciowałyśmy przed sobą na stole, czy kobiercu, orszak weselny Zygmunta-Augusta i Barbary Zapolskiej; innym razem było to rozstanie się Jadwigi z Wilhelmem, to znowu rozmowa Goworka z Leszkiem Białym. Razu jednego takeśmy sobie nabiły głowę historią Karola Chodkiewicza, że o szarej godzinie odegrałyśmy we dwoje scenę jego śmierci. Ja, czyjąś łaskę ze sporym nagłówkiem w rękę trzymając, leżałam na sofie i cichym przerywanym głosem deklamując odpowiednie strofy Niemcewicza, tę hetmańską buławę oddawałam siostrze, która na tę chwilę była Lubomirskim. Gdy już umarłam, wstałam znowu, aby na środku bawialnego pokoju zwycięzcę z pod Chocima pogrzebać. I nietylko pogrzebałyśmy go, ale jeszcze drobnymi naszymi rękoma zaczęłyśmy wznosić mu pomnik. Zaczęłyśmy ściągać wszystkie poduszki z kanap, na nich ustawiać krzesła, na krzesłach składać różne szkatułki, graciki, zbierane z całego mieszkania. Nagle, subtelna ta budowla zachwiała się w swych podstawach, jedno krzesło upadło, pociągnęło za sobą inne, graciki rozsypały się z brzękiem szkła i metalu, do pokoju wbiegły babka i nauczycielka nasza i... kazały nam stanąć w dwóch przeciwległych kątach: Klemuni za fortepianem, mnie za kanapą. Kara ta trwała minut kilka, poczem kazano nam zasiąść do lekcji... Otóż miałam lat siedm, a Klemunia zaczynała rok dziesiąty, kiedy babka nasza, wysoka i wysmukła kobieta, w czarnej sukni podobnej krojem do zakonnego habitu i w śnieżnym czepku na mleczno siwych włosach, rzekła nam dnia pewnego: „Pójdziemy na przechadzkę!“ Chowano nas bardzo miękko i niehygienicznie; na wsi biegałyśmy wiele i swobodnie, ale w mieście wywożono nas tylko na świeże powietrze; pieszo nie wychodziłyśmy prawie nigdy. Przechadzka była nam przyjemnością o tyle żywą o ile niepospolitą. Więc obok staruszki, żwawo jeszcze chodzącej, dreptałyśmy śpiesznie i wesoło, gdy u końca Brygidzkiej ulicy, babka rozkazała nam stanąć i wskazując na dużą, kilkopiętrową kamienicę powiedziała, że nazywa się ona domem Batorego. Stefan Batory! oho! był to nasz dobry znajomy i zajmował nas ogromnie. Jakto? On tu był, w tym domu mieszkał? A co on tu robił? Więc tu on umarł?

Na wązkim chodniku, u stóp wspaniałego kościoła, stara kobieta w sukni do zakonnego habitu podobnej stała długą chwilę, z obu stron trzymając w swych pomarszczonych dłoniach ręce małych wnuczek, które na wyścigi szczebiotały, zapytywały, drobnymi palcami wskazywały bramę domu, nad którą widać było jeszcze zarys wysokiego dachu dawniej królewskiej bramy i liczne okna, po których słońce, schylające się do zachodu, snuło złote sieci i zapalało szkarłatne pochodnie.

Dnia tego, o szarzej godzinie, Klemunia w roli Stefana Batorego, leżąca na sofie, umierała, a ja u jej wezgi stojąc, byłam Janem Zamoyskim i płakałam tak, jak pewnie mężczyzny i mądry kanclerz nie płakał nigdy. Nagrobka jużesmy nie wznosiły i do kąta nam iść nie kazano. Tylko nazajutrz miałyśmy trochę kłopotu z Chapsalem i Noëlem. Klemunia nie potrafiła wyliczyć wszystkich nieforemnych słów francuzkich, a ja nie rozróżniałam dobrze końcówek *du futur simple* od końcówek *du conditionnel présent*. Pogrzeb Batorego zabrał nam wiele czasu i w głowach miałyśmy cały wysoki dom, noszący jego imię.

*

Było to przed tygodniem. Jakże to już dawno, dawno, dawno, odkąd babka i siostra moja spoczęły w mogiłach! W mieście wicher i ogień szaleją, burza, niszcza, w popiół zmieniają siedliska, a w rany serca ludzkie. Powietrze, pełne gryzącego dymu, rozpacznej muzyki kościelnych dzwonów, krzyków i jęków ludzkich. Na starym obszernym sienym rynku, piętrzą się góry sprzętów i tłomoków, tłoczy się ciżba złękniiona, śpiesząca, splakana, ale ognia tu nie widać jeszcze. Może nie przyjdzie, może w drodze wstrzymają siłę tę, czy tego potwora. Mówi się tu o ogniu, jak o istocie żyjącej: „czy on tu przyjdzie? czy już nadchodzi? czy go nie powstrzymają?” Jeżeli przyjdzie, trzeba będzie z temi już zdruzgotanemi dostatkami swemi uciekać przed nim dalej. — Dokąd? — Pod stopy bernardyńskiego kościoła, na obszerny podwórzec. — A jeżeli i tam dogoni? — Ha! to już chyba za Niemen, het, za wodę, w Boże pole, pod nagie niebo — nie, nie nagie, bo grubym czarnym dymem podszyte jak kirem! Nagle — okrzyk, zagłuszający dźwięki dzwonów i przenikliwe tony wojskowych tręb: Przyszęd! Oto już go widzimy! Nad niskimi dachami sienego rynku strzeliła świeca ogromna, jaskrawa, wiatr miotał nią na wsze strony, wzdymała się, rosła, buchała kłębami dymu... rozległ się huk podobny do armatniego strzału, potem drugi raz zagrzmiało przeciągle i strasznie... Mężczyzna jakiś w średnim wieku, w opaloném przez ogień ubraniu, z twarzączerniałą od dymu, przeskakując kufry, tłomoki i obalone stołki, śpiesznie koło mnie przebiegał.

Z całej siły pochwyliłam go za ramię i, wskazując olbrzymią świecę, która już wiele innych roznieciła dokoła, zapytałam:

— Panie! co tam gore? co tam z takim łoskotem runęło?

Drżałam. Jego brwi ściągęły się kurczowo nad oczyma, które w mój twarzy utopiły krótkie, ale głębokie spojrzenie.

— Dom Batorego! — odrzekł i pobiegł dalej...

Biedna, tak już dawno w grobie leżąca, siostrze moja! na tym pogrzebie nie byliśmy już razem!

II. TAM NA BŁONIU BŁYSZCZY KWIECIE...

Byłam podówczas młodą, szczęśliwą, pełną nadziei, złudzeń i zapału. Ze wsi do miasta przyjeżdżałam czasem tylko, na krótko, ale w wolnych chwilach lubiłam zwiedzać, nie tyle ulice, ile uliczki i zakątki miejskie, które mnie pociągały mnóstwem oryginalnych, a często i malowniczych obrazków, różnorodnością swych mieszkańców, czémś nakształt nieprzeczytanęj jeszcze i zwolna odchylającęj się karty powszedniego życia ludzkiego. Wiedziałam, co i jak dzieje się w domach wysokich i ozdobnych; dziejów i wnętrz ścian ciasnych i niskich nie znałam. Ciekawość wyobraźni łączyła się we mnie z serdecznym pociągami ku głębiom, ku najtajniejszym głębiom morza społecznego.

Raz, okrążywszy miasto, po długiej przechadzce nad spadzistym i w mnóstwo szczerb wyżłobionymbrzegiem Niemna, weszłam na ulicę zwaną Podole. Nazwa ta, nie przynależy właściwie jednęj ulicy, lecz całej części miasta, spływającęj zwolna po łagodnym spadzie wzgórze, od szczytu, na którym wznosi się gotycka strzelista wieża bernardyńskiego kościoła, aż ku ostatnim krawędzią piasków nadniemeńskich. Całe to miejsce, gdy się nań

z góry spogląda, ma pozór warcabnicy, ułożonych z szarych, drewnianych domów różnej wielkości i rozdzielających je, w zagony pokrajanych rozłożystymi drzewy zieleniejących ogrodów. Lecz środkiem tego miejsca, pełnego uliczek, zakątków, zawrotnych, wązkich przejść pomiędzy płotami, służących za przejścia dziedzińców, biegnie ulica prosta, szeroka, długa, przyozdobiona świetnym i wysokim łukiem arkady, nad którą przebiegają pociągi kolei żelaznej. Do dziś, ulica ta zachowała postać taką, jaką miała podówczas, przed kilkunastu laty, gdy, zmęczona długą przechadzką, szłam zwolna wąziutkim jej chodnikiem, z ciekawością i mimowolnym uśmiechem sympatyi przypatrując się jej niskim, schludnym domkom, a często i starym, współspróchniałym lecz zawsze czystym i w zieloności ogródków utopionym chatkom. Tu, w małym okienku kwitnie czerwona pelargonia lub mała miesięczna różyczka, widać, że pod niziutkim tym dachem garncarza, szewca albo murarza, żyje młodzieńcze dziewczę na wydaniu. I prawda, bo oto nad niskiego płotu wychyliła się głowa dziewczęcia, z żółtym kwiatkiem w trochę rozczochranych włosach, a błysnąwszy ku mnie rumianym buziakiem i parą błękitnych oczu, oblała się rumieńcem, zachichotała i znikła. Gdzieindziej, z-za ogrodzenia, widać jabłonie i grusze, niby mlecznym i różowym potokiem oblane powodnią kwiecica. Tam, z-za większych już nieco okien, ze ścian trochę wyższych wylatują na ulicę dźwięki stuletniego może bo bardzo ochryplego fortepianu. Znać, że mieszkający tu pan majster, gorliwie już i starannie edukuje swą dziatwę. Chłopcy podrostki, bosi i w krótkich spencerkach, uganiają się z krzykiem po piaszczystym środku ulicy; paru z pomiędzy nich, o furtkę w płocie oparciu, z powagą o czémś rozprawiają; inny samotny jakiś, w obu dłoniach tuli gołębia o srebrnych skrzydłach i różowy dziobek jego, miłośnie do swych bladawych ust przybliży. Od widniejących pomiędzy domami brzegów Niemna, mieszczki w krótkich spódnicach i kolorowych chustach na głowach, z trudnością wspinają się po stromym wzgórzu, z wiadrami wody na ramionach. Idąc, rozprawiają głośno, wykrzyki ich są czasem ostre i kłótlive, lecz wśród nich odzywa się też nieraz donośny serdeczny śmiech wesołości szczerzej i czystej. Dokoła tych gospodyń i matek, uwijają się i płają dzieci różnego wieku, w toaletach bezwyjątkowo wielce zaniedbanych, krzykliwe, ruchliwe, wesołe jak samo dzieciństwo. Niejedna z tych drobnych istot potyka się o kamień albo bruzdę, wyżłobioną w twardym gruncie wzgórza, pada i nakształt piłki stacza się pod sam brzeg wody. Nie pociąga to za sobą następstw żadnych; uczucia matek i ciała dzieci nie są tu miękkie i rozpieszczone; wszyscy tu do wszystkiego, do stromej góry i przerwy nieznoszącej pracy, do ognia, wody i bólu przywykli.

Był to piękny i wiosenny wieczór. Cisza pogody spływała na cichą ulicę; z ogrodów płynęły rzeźwość rosy i zapachy kwitnących drzew; w oknach tu i owdzie błyskały płomyki ognisk. Przeciwległym chodnikiem szedł śpiesznie znany mi trochę majster murarski. Czy nie jego to córka uczy się w tym porządnym domku grać na fortepianie? bo i on sam oto ma na sobie wcale porządny tużurek, a na piersi mu błyska pozłacany, może i złoty łańcuch od zegarka. Uchylając czapki, pozdrowił mię uprzejmie; za nim z wielkim stukiem grubych butów postępowała, może po dzienną zapłatę idąc, gromadka czeladników, robotników w długich od szyi do stóp płóciennych fartuchach. Za przykładem przewodnika swego, uchylili też zlekka swych, wapnem ubielonych czapek.

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór!

Samotne, bladawe chłopię, trochę jęklwym, miłośnym głosem przemawiało do swego gołębia. — Lulu! Lulusiu! Mieszczka z wiadrami na ramionach, przeszła mi drogę. — Dobry wieczór!

Nagle, w ciszę tę i pogodę, w te dźwięki życzliwe ziemi i ludziom, wmieszał się zdala przyplływający krzyk pieśni żołnierskiej. W długim, na żółto pomalowanym gmachu wojskowych koszar, wznoszącym się wśród sąsiedniej ulicy wysoko po nad niskimi domkami Podola kilkaset głosów buchnęło w wieczorną pogodę huczną, szumną, skoczną i niesforną, hulaszczą i wojowniczą pieśnią. Z drugiego końca ulicy, z-za arkady napelniającej się cieniem, dał się słyszeć śpiew inny; piękny, czysty, basowy głos mężczyzny, w głębi jakiegoś dziedzińca, czy ogrodu, zawiódł tam donośnie starą piosenkę:

«Za Niemen tam precz,
Ach, pocóż za Niemen?»

Czy kraj tam piękniejszy,
Kwiecista tam błóń...

W tém miejscu, z głosem męzkim złączył się głos kobiecy, mniej od męzkiego piękny i silny: jednakże młody i czysty. We dwoje śpiewali dalej:

Czy dziewy kraśniejsze,
Że tak spieszysz doń?...»

Stałam u otynkowanego ogrodzenia, tuż przy domku malutkim, którego dwa okienka ziemi wprawdzie dotykały i słuchałam piosenki śpiewanej we dwoje, żalując, że jej słuchać nie mogłam tak, jak chciałam, bo z jednej strony, powietrze coraz huczniej rozbrzmiewało chóralnym śpiewem żołnierzy, z drugiej strony, w końcu ulicy, przy żółto błyskających oknach małego szynku, wszczął się hałas pijanej i zawziętej kłótni.

Ale za białym ogrodzeniem kwitły drzewa, rosa wieczorna padała na trawę, a dwoje ludzi po chwilowej przerwie śpiewało znowu:

Tam na błoniu błyszczą kwiecie,
Stoi ułan na pikiecie...

Cicho, ostrożnie, uchylałam furtkę w ogrodzeniu i za wązkim, malutkim dziedzińcem, zobaczyłam gęsty zielony ogród. W ogrodzie, u skraju zagonów, zieleniejących się warzywem, pod wielkim starym krzakiem bzu, wpołleżał w trawie mężczyzna, wyglądający na lat trzydzieści kilka! Silny, barczysty, miał gęstą śniadą czuprynę, energicznie zakreślone rysy i śniadą od ogorzenia cerę. Tylko co snadź powrócił od pracy i spożył wieczrę, bo wypróżniona po zsiadłym mleku misa, ze sterzczącą w nią łyżką drewnianą, stała przy nim na ziemi. Obok niego, pochylona nieco nad zagonem, siedziała kobieta młoda jeszcze i dość ładna, z rysamidelikatnemi, a grubemi, cienkimi rękoma, któremi wyrwała dzikie zielsko z gęstwiny marchwi i buraków. W pobliżu tych dwojga ludzi, trzyletnia dziewczynka, w grubiej koszuli, obejmowała szyję sporego żółtego kundla.

— Żółtas na! Żółtas jedz! ciuciu! ciuciu! ciuciu! szczebotało dziecko. Ojciec śpiewał:

A dziewczyna jak malina...

Matka syknęła zcicha, snadź pokrzywa ją ukłóła mocno w palce; jednak, z nad zagona, przeciągle zawtórował męzki bas:

Niesie koszyk róż...

Cicho, cichutko zamknęłam furtkę. Ulica była już prawie pustą. Obok mnie przechodziła kobieta praczka, jak wnosić było można po zawiniętych do łokci rękawach i węźle bielizny, dźwiganym na plecach.

— Moja pani, kto mieszka w tym domu?

Stała, podniosła na mnie spłowiałe i zmęczone oczy, uśmiechnęła się gapiowato lecz łagodnie.

— A kto tu ma mieszkać? Wiadomo, Jan Czerniawski.

— Któż to taki, ten Jan Czerniawski?

— A kto ma być? Wiadomo murarz. Czy pani ma do niego jaki interes?

Interes! miałam do niego jeden z najważniejszych interesów całego mego życia! Chciałam wiedzieć jak żyje, co myśli i czuje człowiek, mieszkający w malutkiej chatce, której okienka dotykały niemal ziemi...

Ulica była prawie pustą i zupełnie cichą. Wysoko nad nią, z wielkiego gmachu koszar wojskowych, szumiała i szalała huczna, hulaszczą, skocznymi i jęklivymi nuty zanosząca się pieśń żołnierzy. Z innej strony, zdaleka, szynk hałasował pijanym śmiechem i kłótnią.

Za białym ogrodzeniem, w zielonym ogrodzie, dziecko zaśmiało się srebrzyście, pies zaszczekał, zcicha zaszumiały kwitnące drzewa.

Stój, poczekaj moja duszko,
Zkąd drobniutką strzyżesz nóżką...

Matka wołała na dziecko:
— Marylko! Marylko! Marylko!...

*

Lata jak paciorki przesunęły się po nici, częściej czarnej, niżeli różowej! Doświadczenia i widoki życia rozwiały bez śladu moje dawne urojenia o ziemskich sielankach i rajach; więcej widziałam kałuż, niż strumieni, gliny, niż kryształu, kamieni, niż kwiatów. Są klimaty, które w sposób szczególny dusze ludzkie poddają metamorfozie i topią skrzydła Ikarów. Jakże daleko, daleko za mną pozostał ten wieczór wiosenny, kiedym z pogodą w duszy, a upałem w sercu zwiedzała ciche Podole! I jakże niepodobnemi z sobą bywają różne momenta życia. Przyszedł moment taki, nie w wieczór, ale już w pewien rano wiosenny, gdy z przeraźliwym blaskiem i dławiącym dymem pożogi, wzbił się ku niebu z kruszących się ścian mego miasta, „krzyk trwogi i rozpacz wielu tysięcy ludzi”. Chata moja stała w ogrodach, daleko od pierwotnego źródła pożaru; przez czas jakiś można było mniemać, że żywioł niszczący dosięgnąć jej nie zdoła. Ale już o południu, przyjaciele i życzliwi, przybiegli z wołaniem; „idzie tu! już idzie! i przyjdzie niezawodnie, ratuj, co możesz!” Tak, szedł istotnie i niezawodnie przybyć musiał. Zielony mój dziedziniec już był szarym od dymu, w którym wiły się i przelatywały złote roje iskier; stare wysokie klony moje, wicher rwał w różne kierunki; z za kilku sąsiednich domów, widać było chwiejącą się w powietrzu, szeroką, ognistą chorągiew... Ratować! Obejrzałam się dokoła. Chata niezbyt mała, a tak różnych różności pełna, że w żadnym kącie już-by chyba jednego gracika, na żadnym stole i w żadnej szafie żadnej książki zmieścić nie można. Wozów i koni, dnia tego za żadną cenę dostarczyć sobie niepodobna. Iluż trzeba ludzkich grzbietów, aby na sobie dźwignęły to wszystko, książki szczególnie; mnóstwo książek bardzo ciężkich a jak drogich, ten tylko powieć, kto smutne swe serce orzeźwił kiedy w pracy umysłu, kto umie kochać to, czego na cielesne swe oczy nie widzi i tych, których nie zna, a przecież tak z bliska, tak serdecznie zna... Najlepszy z przyjaciół moich przywiódł mi kilku silnych i uczciwych chłopów; brali i wynosili z domu, co mogli, ale przedmioty najcięższe... nade wszystko książki, biurka moje... Powiodłam po nich okiem. Żegnajcie, żegnajcie! po was, zarówno jak i po tych ścianach, wśród których tyle, tyle przeżyłam: za pół godziny pozostanie garść popiołu.

Wtém drzwi szklane, które co chwila roztwierane na oścież i przez szalony wicher zamykane z trzaskiem i przeraźliwym dźwiękiem rozbijanych szyb, rozwarły się znowu, przed wchodzącą gromadą ludzi. Było ich dziesięciu, wysokich, silnych, z podniesionymi głowami i ramionami, już wyciągającymi się do pracy; na czele ich szedł człowiek barczysty, z twarzą śmiałą i energiczną, z kruczą, gęstą, a na pół już osiwiałą czupryną, z płomieniem zapału w oczach.

— Kto panowie jesteście?

— Murarze z Podola.

— Kto was tu przyprowadził?

— Jan Czerniawski.

Jakże się zmienił! I po nim snadź życie to nie spływało, jak po kamieniu woda. Osiwiał, plecy miał od dźwiganych cegieł przygarbione nieco, naśniedziałem czole tyle zmarszczek, ile zapewne przez lat kilkanaście, od owego dawnego wiosennego wieczora, przeniósł smutków i trosk.

— Nic to! Héj, chłopcy! Na plecy wory te i węzy! Do téj szafy dwóch wystarczy, ten stół, sam jeden, kochanku, podźwignąć musisz! Żwawo! Ostrożnie! Na sienny rynek! tam jeszcze ognia niema! Wracać prędko, galopem, a jednego do pilnowania zostawiać! Ej, żwawo! żwawo! nie jeden tylko ten dom w nieszczęściu!

I widać było, że nie w jednym już domu czynili to co tutaj; widać to było z osmalonych przez ogień ich ubrań i strumieni potu, lejących się po twarzach czarnych od dymu. Jeden mniej silny, czy więcej zmęczony, mocował się z ciężkim worem, chcąc go sobie na plecy zarzucić i nie podolałszy zadaniu zaklął i ciężar na ziemię opuścił. Lecz wódz przyskoczył.

— Wstyd! młody a niedołęga! — Pochwycił kilkopudowe brzemię i w mgnieniu oka obarczył niemi swe plecy. Niemiłody, nie był tak silnym, jakim się chciał okazać, bo mimowolne stęknienie wydobyło się z jego piersi, krwisty rumieniec trysnął na czoło, górna część ciała przygięła się prawie do ziemi. Nic to, zgarbiony strasznie, biegł, nie szedł ze swym ciężarem, zdyszana piersią wołając gromko: — Za mną, chłopcy! Żwawo! Galopem!

Na dziedziniec wpadł chłopak rozczochrany, splakany, krzyczący.

— Ratujcie ludzi! tu tyłu jest ludzi! Pali się u Mikołajowej, wszystko spali się... Stara z dziewczyną nic nie udźwignie...

Czerniawski stanął jak wryty i ręce załamał.

— Oj, biednaż kobieta, biedna!

Biedną była istotnie ta wzywająca ratunku Mikołajowa: wdowa po kucharzu, restauratorka na małą skalę; całe ję bogactwo — łądło kotły i wory z zapasami surowej żywności, same rzeczy ciężkie. Namyslał się kilka sekund.

— Héj chłopcy, sześciu za mną do Mikołajowej! Czterech niech tu zostanie, tu już potrzeba mniejsza... rybacy przyszli!

Istotnie, przyszli do mnie także rybacy, szewcy i dorożkarze lub ich synowie. Czerniawski z częścią swoich tam pobiegł, gdzie jeszcze nie było nikogo.

Przez cały ten dzień piekielny, w kłębach dymu, upale ognia i chmurach kurzawy, widywałam go często tu i tam noszącego ogromne ciężary, wdzierającego się na płonące już strychy, odganiającego złodziei od stosów rozrzuconych i połamanych rupieci, a w powietrzu huczającym szalonymi rozpędami wichru, ludzkimi wrzaskami, wojskowymi sygnałami i kościelnymi dzwonami, do ucha megoprzedzierał się głos ze zdyszanej wychodzący piersi, lecz rażny i rozkazujący.

— Héj, chłopcy, za mną, żwawo! galopem!

Z pod czoła zmiętego w tysiiąc zmarszczek i siwiejącej czupryny, oczy jego świeciły płomieniem zapału.

*

Nazajutrz, po tym dniu boleści i zagłady, o dość wczesnej rannej godzinie, powiedziano mi, że z murarzem Czerniawskim stała się rzecz straszna. Posłałam tam natychmiast mego lekarza. W godzinę potem, z dłońmi przyciśniętymi do czoła, słuchałam o czterech złamanych żebrach i nadwyreżeniu płuc tak silnym, że w tym wieku... kto wie... czy uleczalnym? Do czwartej godziny w nocy paliło się miasto. Około trzeciej nie miał już komu ratować mienia; zachciało mu się gasić ogień. Prosta historia: wdrapał się kędyś, na jakąś znaczną wysokość, stracił równowagę i, upadając, piersią i bokiem uderzył o jakiś twardy i kanciasty przedmiot.

Przed wieczorem wchodziłam na mały, wązki dziedziniec domku, którego okna prawie dotykają ziemi — i widziałam ten sam zielony ogródek, na którym przed laty ukradkiem patrzyłam. W pamięci mi zaśpiewało:

Tam na błoni błyszczą kwiecie,
Stoi ułan na pikiecie...

Na spotkanie moje wyszła kobieta z rysami delikatnymi, lecz strasznie zwiędłymi od pracy i choroby, wysoka, chuda, zaledwie mogąca utrzymać się na nogach. Łzy rzęsiście ciekły ze spłowiłych jej oczu, na wklęsłe i żółte policzki...

A dziewczyna jak malina
Niesie koszyk róż!...

Na zewnętrznej ścianie domku kilka klatek, w których świergocą szczygły i gile. To czternastoletni Kazio, drugie ich po Marylce dziecko, ze sztuką wielką umie łowić te ptaki i tak je lubi, że ot, wprost, przepada za nimi! Chłopak żywy jak iskra, z rumianą twarzą i lnianymi włosy, wybiega za matką z domku, ale zmieszany widokiem osoby obcej, chowa się wnet do jego wnętrza. Pies kundel już nie żółty, jak przed laty, ale biały

w czarne plamy, czeka na mnie trochę. Dwie małe dziewczynki wybiegają w celu poskromienia jego wojowniczych zapałów. Jedna, słusniejsza, jak brat rumiana i żwawa, druga z twarzyczką i ruchami, przypominającymi wędnący w pąku kwiat. Ale po chwili, cała rodzina, wraz ze mną i kundlem, Żuczkiem, otacza łożo chorego, ubogie łożo, w izbie ubogiej i nieobszerniej, której, połowę zapełniają gospodarskie naczynia i murarskie narzędzia, a drugą połowę wielki piec z rozwiewnym niewielkim ogniem.

Gdy, stając u jego wezłowia, pozdrowiłam go z cicha i prawie nieśmiało, oczy jego, głęboko wklęsłe, wśród białej jak chusta twarzy, utkwiły we mnie długie spojrzenie. Poruszył ustami i tonem zapytania przemówił:

— Cóż tam... dzieje się... z tymi biednymi ludźmi?

Ale żona, kobieta, matka czworga dzieci, nie o ludziach w tej chwili myślała. Wybuchnęła pytaniem, co stanie się teraz z jej rodziną. Ona chorą jest i ledwie trzyma się na nogach; jedyna dorosła córka, wszystko za nią robić musi w chacie, chłopiec nic nie zarobi jeszcze, a te maleństwa... Wszyscy żyli z pracy ojca, tylko z jego pracy... a teraz... doktor powiada wprawdzie, że żyć on będzie, ale o pracowaniu niechaj ani myśli przez cały ten rok, a może i dłużej... a może i na zawsze! Czy poumierają z głodu? Sześć osób... Nie wyrzucała mężowi nic, o nie! robił to, co uczciwy człowiek robić był powinien, tylko spracowane swe, wychudłe dłonie załamywała tak, że aż w stawach trzeszczały, a w spląkanych jej oczach malowały się trwoga i żal bez granic. Marylka, wysmukła i zgrabna dziewczyna, z drewnianą łyżką w ręku stała przed ogniem nieruchoma, jakposąg; Kazio, z szarym kotem w objęciu, tulił się do najciemniejszego kąta, dwie małe dziewczynki, przysiadłszy na ziemi, szlochały z cicha, matczynym fartuchem ocierając oczy.

Stałam naprzeciw chorego i kiedy się weń wpatrywała, cała dusza moja zbiegła mi do oczu. Słuchał skarg żony i szlochania dzieci, w milczeniu. Na pomarszczone, rozstrojone jego czoło spadała głęboka zaduma, blade usta pod bujnym wąsem drgnęły, zapadłe oczy napęłniły się smutkiem cichym, ale bezdennym. Milczał. Wspomnienia moje śpiewały:

Stój poczekaj moja duszko
Gdzie drobnutką strzyżesz nóżką...

Kobieta pochyliła się i troskliwie, ostrożnie podniosła w górę, usuwając mu się z pod głowy poduszkę. Kilka jej łez kroplistych spadło w siwiejącą gęstwinę jego włosów...

Jam z tej chatki, rwałam kwiatki
I powracam już...

Nakonic, spojrzenie jego zwróciło się na twarz żony, a usta zarysowały żartobliwy prawie uśmiech. Pocieszająco, pieszczotliwie przesunął dłoń po jej rękę i z cicha przemówił:

«Z rana ci wianek uplotę,
Na obiad dam szmer strumyka,
Na wieczere... śpiew słowika...»

Straszne, chorą pierś rozedrzeć zda się mogące westchnienie, przerwało mu żartobliwą mowę. Zaniósł się kaszlem. Ból wyrwał mu z piersi parę mimowolnych jęków. Po kilku jednak minutach rzekł znowu do żony: — Chciałem cię trochę rozśmieszyć, bo tak desperujesz... A potem zwracając się do mnie:

— Co tam dzieje się z tymi biednymi ludźmi?

O, nieznany i małuczki! iluż wielkich tego świata pozazdrościć-by mogło wielkości twój duszy!...

III. WAZON AURYKLI

Znowu wracam do ciebie czarnooka i błada twarzyczko siostry mojej. Zgasłaś wcześniej, a teraz, gdy po cmentarzu miejsc znikłych chodzę i słucham szeptu wspomnień dalekich, dalekich, nie mam do kogo powiedzieć: pamiętasz?

Pamiętam, że było to w dzień Nowego Roku. Byliśmy bardzo wesołe, bo ubrano nas w nowe sukienki różowe, i przeciw zwyczajowi od zwierciadła nie odpędzono, gdyśmy przed niem przez dobry kwadrans wykręcały się i skakały jak frygi. Niewiele po południu, wraz z matką naszą siedziałyśmy przy śniadaniu, gdy nagle widelce z rąk nam wypadły, okrzyki zachwycenia z ust się wyrwały i... zerwałyśmy się z krzeseł naszych, biegnąc ku drzwiom, nakształt ptaków lecących ku słońcu. We drzwiach stanął nasz ojczym i, śmiejąc się, wzniosłniewo w górę sporę wielkości cukrowy wazon aurykli. Wazon był z czekolady, kwiaty i liście z zabarwionego cukru, ale tak kunsztownie wykonane, że wtedy przynajmniej przysiadz mogłybyśmy na naszą najpiękniejszą lalkę, albo najulubieńszą książkę, że były to aurykle prawdziwe, żywe, tylko co rozkwitłe. Ojczym nasz, to śliczne cacko postawił na stole, mówiąc: — Dla was dzieci na gwiazdkę!

Jakto, aurykle te do nas należać miały! Nasza to więc własność! O, radości! Do śniadania nikt-by nas już napędzić nie zdołał, lecz nikt i nie napędzał. Babka nasza wróciła z kościoła, przyszło paru przyjaciół domu i wszyscy bawili się radością naszą. Z rąk do rąk podawałyśmy sobie śliczny wazonik, wachałyśmy kwiaty cukrowe, szukałyśmy miejsca, na którym, według naszego zdania, wyglądać-by mogły najświetniej. Koniecznie starałyśmy się o to, aby każdemu wchodzącemu do mieszkania, aurykle nasze od razu rzucały się w oczy. W tym celu pomieściłyśmy je na stole, stojącym przed kanapą, z którego to miejsca sromotnie zdjąć nam je rozkazano. Dziwiłyśmy się bardzo gustowi starszych, którzy cukrowych kwiatów na najwidoczniejszym miejscu bawialnego pokoju nie tolerowali, ale posłuszne i nieco obrażone, zaniósłszy je do swojej sypialni i postawiły na oknie, tuż przed stołem, przy którym odbywały się lekcje. Przepadając zaczekoladą, doświadczyłam wprawdzie parę razy żywej pokusy ugryzienia malutkiego choćby kawałeczka z ładnie wyębionego brzegu wazonika, ale wnet myśl tę odrzuciłam daleko, jako zawstydzającą, niemal świętokradzką. Klemunia, o trzy lata prawie ode mnie starsza, stawiając wazonik na oknie, rzekła:

— Jutro, kiedy przy lekcji przyjdzie do tej obrzydliwej syntaxy, będę sobie patrzyła na te liliowe kwiatki!

W ciągu tego dnia wesołego usłyszałyśmy matkę naszą, zapytującą męża:

— Gdzie dostałeś taki ładny, cukrowy wazonik?

Ojczym nasz odpowiedział:

— U Kantlera.

Oddawna już to nazwisko nie było nam całkiem nieznanne. Wyczytałyśmy je już nieraz na papierowych woreczkach i pudełkach, w których krewni i przyjaciele domu przynosili nam cukierki; widziałyśmy je także na szyldzie cukierni, znajdującej się pod balkonem stariej i wysokiej kamienicy, pod balkonem także bardzo zajmującym, bo podtrzymywanym przez dwie z kamienia wyrzeźbione syreny. Te syreny, jak wiadomo, wpół kobiety a wpół ryby, górną część ciała miały pomalowaną na różowo, a dolną na zielono. Na zgiętych ich ramionach wspierał się balkon z żelaznym ogrodzeniem, a podbalkonem, wystawą z żywych i cukrowych kwiatów, z ciast i cukierków, jaśniała cukiernia Kantlera. Widziałyśmy więc już nieco i wprzódy o miejscu i człowieku, ale od czasu wazonika aurykli, miejsce i człowiek przybrały dla nas znaczenie pełne uroku, zaciekawiające, pociągające, prawie tajemnicze. O tém miejscu roiliśmy sobie dziwne dziwy, wyobrażając sobie, że jest pełnem najpiękniejszych wazonów z najpiękniejszymi kwiatami — i może jeszcze takich fontan cukrowych, jak te któreśmy parę razy oglądały z zachwyceniem, na wielkanocnych babach. Tylko, że te fontanny pewnie daleko wyższe, wyższe, aż pod sufit może wysokie. Dla twórcy naszego wazonika i tych innych cudownych rzeczy wyimaginowanych; czułyśmy żywą sympatyą, a jeszcze większą ochotę zobaczenia go kiedykolwiek. Jak on może wyglądać ten cukiernik? W ogólności, ludzi tego gatunku, do jakiego należą cukiernicy, widywałyśmy niewiele, i to zwiększało naszą ciekawość. I jeszcze owe syreny! Pójsz pod ów balkon, przypatrzeć się tym syrenom, i choć raz wejść do cukierni Kantlera, stało się na pewien czas naszym marzeniem. Raz w czasie przejażdżki, zrobiłyśmy nieśmiałą propozycję, czy nie można-by spełnić tych naszych chęci, ale towarzysząca nam starsza osoba odpowiedziała przecząco, dodając, że kobietom nie wypada wchodzić do cukierni. Dwie małe kobietki, wożone szybko odsyren i Kantlera zasmuciły się tém trochę, i potem już, wiedząc dobrze, czego się trzymać mają, nie kobiet, ale mężczyzn bliżej znajomych zapytywały nieraz:

— Czy pan był kiedy u Kantlera?

Zresztą, wszystko to długo nie trwało. Przybyły nowe zabawki i nowe dla wyobraźni dziecięcych przedmioty zajęcia. Ale, przez czas jakiś, wazonik aurykli był pociechą naszą w niejednym trudnym przejściu życia. Kiedy Klemunią syntaxa francuzka, a mnie kojugacye niemieckie — dwa przedmioty jednostajnie nas dławiące, bardzo już zmęczyły, podnosiłyśmy oczy na nasze liliowe kwiatki, i uśmiech prostował skurczone przez nudę linie naszych ust.

*

Przyszedł czas, z którym opinia prowincjonalnego miasta, po długich wahaniach się i zwłokach, uznała jednak tę wszechświatową prawdę, że do cukierni kobietom wchodzić wypada. Z innej strony, dla mnie także przyszedł czas nieoglądania się na wszystkie opinie prowincjonalnego miasta. Wtedy poznałam Kantlera i ten jego przybytek, z którego na moje dziecięce lata były strumienie uciech. Był to przybytek taki, do jakiego najsurowszj nawet z westalek rzymskich wejść-by wypadało. Gospodarz jego wyglądał wcale inaczej, niżesmy to sobie w dziecięcych naszych rojeniach wyobrażały. Ojciec jego przybył tu niegdyś z Czech i ztąd brzmienie takie tego nazwiska; ale on sam urodził się w tém mieście, a firma jego, w czasie gdym z nią zabrała znajomość osobistą, liczyła lat czterdzieści. Sześćdziesiąt kilka lat życia i czterdzieści pracy, gęstą siwizną przysypały włosy, i w grube fałdy wygięły czoło tego twórcy cukrowych arcydzieł. Wysoki, gruby, ciężki, twarz miał głęboko śniadą, oczy nieco posępne, i łagodny, dobroduszny uśmiech pod siwiejącym ogromnym wąsem. Chodził powoli, ciężko i mówił zazwyczaj mało, rozgadując się tylko z tymi, którzy posiadali szczególne jego względy. Pomimo tój pozornj ociążałości i małowówności gospodarza tego miejsca, wrzał w niem wielki ruch gospodarskiej i przemysłowej pracy. Gospodyni, dużo od męża swego młodsza a jakby umyślnie dla kontrastu z nim dobrana, bo o tyle cienka, ruchliwa i gadatliwa, o ile on był grubym, ciężkim i milczącym, krzątała się nieustannie po cukierni i tuż za nią znajdującem się swém mieszkaniu, sprzątając, czyszcząc, rozmawiając, opowiadając, zabierając z gośćmi blizką i nieraz serdeczną znajomość. Obcej służby tam nie było, bo trzej synowie gospodarstwa, pacholęta wysmukłe i z rumianemi twarzami, dopomagali rodzicom w cukierni i w kuchni, z którj wciąż pod przewodnictwem gospodyni przynoszonajrozmaitsze i z wielkiem staraniem wykonywane wyroby. Gospodarz stał za bufetem i milczącemi giestami albo krótkiemi słowy dyrygował wszystkiem. Była cała jedna kategoria gości, którj nie lubił, i gdy nikogo więcj prócz jój okazów nie było, zasiadał za bufetem, plecami prawie ku nim zwrócony i zagłębiał się cały w czytaniu gazety. Ale gdy przychodzili tacy, dla którj miał sympatyą, wstawał, z lekka na powitanie skłaniał swą dużą, ciężką głowę i uśmiech pełen dziwnj dobroci rozjaśniał tę twarz wielką, śniadą, pomarszczoną i posępną. Duch najczystszejgo patryarchalizmu panował w tym zakładzie, obsługiwanym przez ojca, matkę i trzech synów, strzeżonym pilnie od wszelkiej reklamy i wszystkiego tego... dla czego-by kobietom wchodzić doń nie wypadało. W pierwszym pokoju pito kawę i czekoladę, w drugim grano w bilard, a ztamąd już, przez drzwi osłonięte firanką, która-by mogła być umieszczoną w gabinecie starożytności grodzieńskich, dochodziły wszystkie gospodarskie rozmowy i gwary, dźwięki gam, wygrywanych na starym fortepianie przez małą córkę domu, a gdy urodził się syn jeszcze jeden, to płacziwe krzyki tego niemowlęcia, na którego wspomnienie ojciec czynił ręką giest niedbały, a posępne swe oczy rozjaśniał na chwilę rodzajem tryumfującj radości; matka zaś z uśmiechem szczęścia na chudej i delikatnej twarzy mawiała: — „Ot, jeszcze państwo zajmują się tymmalcem! Kłopot z nim tylko i nic więcj! “ — Widać jednak było wyraźnie, że przyjsie na świat tego Benjaminka wesoly promień rzuciło w nadeszły już wieczór ich życia.

Wszystko to było wielce patryarchalnem, cnotliwem, wzorowem, ale trwać długo nie mogło. Zmieniają się czasy, obyczaje i potrzeby ludzkie. W mieście powstały dwie cukiernie, które daleko zręczniej od tój, umiały zgromadzić i wabić prowincjonalną publiczność. Powstały inowacye różne, jako to: pokoiki osobne dla gry kartowej, estrady, na którj ukazywały się i popisywały sprowadzane z różnych stron szansonistki i t. d. Kantlera starzy znajomi jego zapytywali, dla czego choć w części nie stosuje się do nowych wymagań publiczności, ale on zacofanym był i z tym mianowicie kierunkiem ducha

czasu pogodzić się nie mógł. Zapytywany, z groźnym marszem na wielkiem swém czole i posępniejszym niż kiedy wejrzeniem, odpowiadał:

— Ja do tego, panie dobrodzieju, niezdatny, bo to jest z przeproszeniem, paskudztwo!

Żona z żywości charakteru aż spluwała, słysząc o tém wszystkim i, machając swemi chudemi rękoma, wołała:

— Żebym ja na to w swoim domu pozwoliła... a niedoczekanie ich!

Uwzięli się, i nietylko, że nie urządzili pokoikowi estrady, ale jeszcze zdjęli z bufetu swego wódki i likiery. Kiedy wchodzący gość, mianowicie z kategorii nielubianych, żądał wódki albo likieru, gospodarz, odrywając wzrok od gazety, grubym swym głosem odpowiadał krótko:

— Niéma wódki. Tu nie szynk, ale cukiernia...

Przed znajomymi i lubianymi tłómaczył się nieco obszerniej.

— Dawniej — powiadał — można było, czemu-by niemożna? Ale teraz — nie; cukierników nie jedzą, czekolady nie piją, tylko im wódki dawaj! A inny, panie dobrodzieju, to spije się jeszcze i legnie tu na kanapie, z przeproszeniem, jak świnia!

Widocznie, zepsucie czasu ciążyło mu na sercu i w niczém dopomagać mu nie chciał. Ale to zacofanie zakładowi na dobre nie wychodziło. Mijały czasem długie godziny, w których cukiernia była zupełnie pustą; paru starych emerytów flegmatycznie popychało kule bilardowe, ten i ów zaszedł i coś kupił; więcej nic. Cisza i dochodzące z mieszkania gospodarzy głosy rodzinnego życia. Zaczynający dorastać chłopcy nic już prawie do roboty nie mieli; właściciel zakładu ze stoickim spokojem, po dniach całych za bufetem siedząc, czytywał gazety, żona jego wyrzekała, że niéma nad czém pracować, i że, gdyby tak... co innego obmyślcć. Obmyślili. Raz, kiedyś z paru przyjaciół zaszła nie do cukierni, ale do prywatnego ich mieszkania, obwieścili nam oboje, że zwijają swój zakład, a za kapitalik uzbierany w ciągu kilkudziesięcioletniej pracy, kupują dwa domy. Kapitalik ten niezupełnie im wystarczał, trochę więc groszy dokończyli i kupują te dwa domy, co to państwo wiedzą, na Piaskowej ulicy, z weneckimi oknami i dużym ogrodem. Najstarszego syna wysyłają na naukę do piwowara, dwaj młodszy terminować będą w największej z miejskich piekarni; ten oto Benjaminek najmłodszy zostanie przy nich, bo córka w przeszłym już roku, dzięki Bogu, za mąż wyszła. Z pomocą krewnego swego ogrodnika, urządzą ogród swój w ten sposób, że im jakieś dochody przynosić będzie. Nad dochodem pracować jeszcze mogą. Dochodami z dwóch domów prędko dług zaciągnięty spłaca. Odpoczną sobie. Swobodnie odetchną pod własnym dachem, na własnym kęsie gruntu, który po ich śmierci przyda się synom, i, o jak jeszcze! przyda się pewnie, szczególnież temu małemu Beniaminkowi, który teraz ma lat siedm, a którego ojciec najpewniej już dorosłym nie zobaczy. Siedmdziesiątkę już przeszedł, matka pięćdziesiąt lat liczy sobie zaledwie, ale te lata w ciężkiej pracy spędziła... Kto wie tedy, ile jeszcze wieku zostało. Ale ostatki życia spędzą sobie wygodnie i błogo, umrą spokojni o byt i wychowanie najmłodszego dziecka...

Cieszyli się tak, że chuda twarz kobiety oblała się prawie gorączkowym rumieńcem, a posępnie zwykle źrenice starca, z pod opadających na powieki gęstych brwi siwych, jaśniały, zda się, odrodzoną młodością. Na krzesłach i stołkach leżały, do przenosin przygotowane, stopy świeżo upranéj, rozmarynem i miętą pachnącej bielizny; na oknie, czystym szafirem barwił się bukiet bławatków; chłopcy, w białych fartuchach zwijali się około pakowania odzieży i sprzętów. Przenosiny! przenosiny z cukierni staruszki do własnych, nowych, zielonych ogrodem otoczonych domów! Stary, gruby, ciężki człowiek, w szarym surducie i ze śniadą twarzą, promieniejącą w téj chwili szczęściem, na tacy podawał nam lody. Nie prosiłyśmy o nie. Sam po raz ostatni chciał uczęstować gości, należących do kategorii lubianych. Nie stąpił tak ciężko jak zwykle, owszem, przystąpił do nas prawie z podskokiem, i dziwnie giętkim, niemal fertycznym był ukłon grubéj jego postaci, gdy z najdobroduszniejszym ze swych uśmiechów, rzekł do nas: — Niech państwo będą łaskawi jeszcze raz pokosztować moich lodów... a może kiedy będę miał honor... może kiedy będę miał przyjemność... no, może tam kiedy przyjdziecie zobaczyć moje domki...

Znałam was dobrze domki stojące u brzegu cichéj Piaskowej ulicy! Ładnie spoglądałyście na świat swemi dużemi weneckimi oknami, i ładny, duży zielony ogród otaczał ściany wasze nie rozległe, lecz nowe jeszcze, jędrne i proste! Mijałamwas nieraz w dniach

szczęścia i smutku, z radością w duszy, lub z raną piekącą w sercu, a zawsze uśmiechałyście się do mnie wiejącą od was świeżością i ciszą!

*

Po tym okropnym dniu grozy i nieszczęścia, gdzie się podziała rodzina Kantlerów? Rozsyпка była ogólną; przez dni kilka ludzie szukali się wzajemnie, błędząc po zgłiszczach, koszarach, piwnicach, na pustyni wśród tłumu wołając swoich. Nakoniec powiedziano mi, że rodzina, o którą się dopytuję, mieszka w swoim domu. Jakże to być mogło? Ulica Piaskowa spłonęła przecież od końca do końca. Jednak, było to prawdą; mieszkali w piwnicy swego domu. O szarej godzinie, znalazłam ich siedzących na gruzach; ja, ze splecionymi dokoła kolan rękoma, spoglądającą na spalony ogród; jego, plecami opartym o piec sterczący z pokruszonych cegieł, z najmłodszym synem u boku. Spozrzegłszy mnie, ruchliwa zawsze kobiecina zerwała się z ziemi i chwyciwszy moją rękę, powiodła mnie do ogrodu. Widać, że ogród ten, który przed rokiem uprawiać zaczęła, stał się jój namiętnością. Szła i biegła, stawiała jak wryta i pochylała się ku ziemi, opowiadając, pokazując. Jak strumień gorący, słowa pośpieszne, łzami dławione, lały się z ust jój. Te drzewa, które teraz pnie mają zczerniałe i gałęzie bez listka żadnego, były to grusze, jabłonie, śliwy. Tu miała przestrzeń, usianą salata i cukrowym grochem; tam rękoma własnymi zasadziła szereg malinowych krzaków; tu jeszcze rosły miesięczne poziomki, truskawki; tam był grunt, przygotowany na szparagarnią, a ówdzie maleńki ogródek, w którym mały Juliś (Benjaminek) kopał zagonki pod własne kwiatki i warzywa. Wszystko to już jój dawało i nadal dawać miało pieniężne korzyści. Ale ona nie tych pieniędzy tylko żałuje. Rozkrzyżowała w powietrzu ramiona. — Jużem się ja do tego kawałka ziemi, jakby do rodzzonego dziecka przywiązała. Każdą trawę tu znałam, do każdego krzaku w noc ciemną trafić-bym mogła... Myślałam, że tutaj wieku dokończę, a dziatki moje swoją dziatwę pod temi drzewami i na tej trawie kołysać będą... — Co dzieje się z ich synami? Dla czego tu nie są? Piekarnia, w której pracowali, z powierzchni ziemi zniknęła; tułają się chłopcy po zgłiszczach, bezczynni, obdarci... Czemuż obdarci? Bo wszystka odzież rodziny, i te pachnące rozmarynem stopy bielizny, i wszystko, co mieli, co przez dziesiątki lat zgromadzali, spłonęło w tym ot, ogrodzie, wraz z tym ogrodem... — Grunt wam pozostał, na którym domy stały... — A dług nasz pani? a dług? a dług ten? Zmierzchało. W zapadającym zmroku, pośród suchych szkieletów drzew, po trawach zeschniętych i sucho pod jój stopami trzeszczących wysoka, chuda kobieta, z twarzą o delikatnych rysach, zmiętą, gorączkowym rumieńcem okrytą, biegła tu i ówdzie, prowadząc mię za sobą, to stając jak wryta, to schylając się ku ziemi i drżące dłonie przesuwając po trupach roślin, jakby tam jeszcze szukała czegoś, co życiem drgnąć mogło pod jój dotknięciem...

On milczał. Gruba postać jego z wielką siwą głową, jak cień ponury odbijała się na białem tle pieca, samotnie sterczącego nad kupami gruzów i śmiecia. Ośmioletnią chłopię, zbladłe i wynędzniałe przez te dni rozpacz, stało przy nim, tułac się mu do ramienia i szeroko otwartymi oczyma patrząc na świat ten, pełen takich dziwów. Zbliżyłam się do starca. Spokojnym był z pozoru i zrezygnowanym.

— Cóż? — rzekł szorstkim i grubym swym głosem, — było i niema. Prochem jesteśmy.

Zapytałam, co dalej czynić zamierza. Długo milczał, potem niezadowolonym, porywym głosem odrzucił:

— A cóż tu robić? Mnie tu już bawić niedługo...

I powolnym, powolnym spojrzeniem, oczy jego zwróciły się ku bledziutki i jakby w niezmiernym zdziwieniu osłupiałej twarzy Julisia.

— Ot... — rzekł jeszcze, — on... a i tamte także... no! prochem jesteście...

Z szerokiej, kościstej piersi wydobył się dźwięk taki, jakby jedno powściągnięte żłkanie lwa.

Klemuniu! czy ty pamiętasz nasz śliczny wazonik aurykli?

IV. STARY JAWOR

Naprzeciw domu Batorego, po prawicy wspaniałej Fary, stał on wysoki, prosty, w górę potężnie rozgałęziony, z ziemi wyrastający pniem węzłowatym, omszonym, tak grubym, że dla objęcia go dokoła, trzeba-by rozpostartych ramion kilku ludzi. Tylko po tej grubości pnia poznać było można wielką jego starość; bo rozłożyste zapewne korzenie kryły się pod kamieniami bruka, a z niezliczonych gałęzi, nie uschła była jeszcze ani jedna. Wszystkie swe gałęzie zdrowe i silne podnosił on w górę, lub rozpościerał dokoła, jak wachlarze, utkane z gęstwiny liści dużych, zębiastych, a każdej wiosny tak zielonych i świeżych, jakby to była pierwsza jego wiosna.

Jakim był jego początek? Czy sierotą i śladem ostatnim został on na tej dziewiczej puszczy, na której ogołoconém łonie wzniosło się to miasto? Czy wiatry, lecące ze stron dalekich, upuściły tujego nasienie? Albo może płonką malutką zasadziła go dłoń człowieka, którego prochów ostatni już atom dawno utonął w odmęcie przyrody? Ile dziesiątków lat, a raczej ile stuleci on przeżył? Czy w pierwszej swojej młodości, wysmukły jeszcze i giętki, patrzył on w górę, ku napowietrznej galerii, która ów dom rozległy i ciężki, z tym oto wspaniałym kościołem łączyła? Czy widział wówczas, jak tą galerią przeciągały królewskie orszaki, i jak wysoko, wysoko nad drewnianymi dworakami i szerokimi ogrodami ówczesnego miasta, na błękitném lub chmurném tle nieba, sunęły korowody purpur i gronostajów, delii i panczerzy, dumnych postaci i twarzy odważnych? Aby to widzieć, nie był on może dość starym. Ale najpewniej huk szwedzkich bojów, zbliżka go dochodząc, wprawiała w drżenie silne już jego ramiona; najpewniej także spoglądał on nieraz na dworskie powozy i stroje, gdy uroczystym a świetnym pochodem dążyły od wrót świątyni do sali obrad na zamku; najpewniej jeszcze, pod cieniem jego przesuwiała się nieraz, albo w zadumie stawała genialna twarz myśliciela, który ten gród ubogi lecz piękny, zmienić próbował w miejsce bogate i słynne, udostojnione ludzką oświatą i pracą, i dostojnością ludzką szczęśliwe. Tam, za nim, w pobliżu, stukwały młoty i kielnie, furkały wrzeciona i huczały krośna, grały orkiestry i rozkwitały pyszne sady Tyzenhausa... Czy wtedy liście i ramiona jego drżały z radości i szumem swym śpiewały pieśń dumnych nadziei? Ile jutrzemek rzucało nań pocałunki różanych i mknących swych blasków? Ile nocy jesiennych owijało go w czarne i mokre całuny? Ile razy śniegi i szrony zimowe czyniły zeń kolumnę z marmuru i alabastru, a księżycowe światło przekształcało go w fontannę, zawieszającą w powietrzu zakłęty deszcz srebrnych kropel? Ilu tych, którzy w dzieciństwie płocho i rozkosznie igrali u stóp jego, potem w jego cieniu przesuwali znękaną swą starość? Iles ty słyszał ludzkich śmiechów i westchnień? Iles ty widział ludzkich grzechów i łez? O stary jaworze!

Pośród otaczającej go roślinności, wyglądał na patryarchę czerstwego jeszcze i w dostojności swój wyniosłego. Wysokie topole włoskie, szeregiem stojące przed szerokim frontem Fary, miały pozór jego wnuków; co się zaś tyczy tych małych, cieniutkich topolek, któremi niezbyt dawno osadzono długi czworobok bulwaru, były to już wprost prawnuczeta, jak wszelka dziatwa, ruchliwe i szumne, bo najłżejszy powiew wiatru kołysał niemi na wsze strony, i młodziutkie ich liście w zawzięte szepty wprawiał. A pradziad bywał najczęściej poważny i nieruchomy. Iles tam dokoła niego działo się różnych rzeczy! Tuż za nim na białém tle kamienicy, wystawy swe rozwiesiły sklepy futer i galanteryjnych wyrobów. Pierwszy, z obu swych stron porozpinał skóry wilcze, niedźwiedzie, lisie; drugi, za szybami okien ponastawiał i porozwieszał mnóstwo błyszczących blaszek i szkiełek, barwistych wstążek, wzorzystych koronek. U drzwi tych sklepów nieustannie gwary. Wchodzą, wychodzą, targują się, sprzecają, kupują, cieszą się i wyrzekają; kroki ludzkie śpieszne i tłumnie dudnią po deskach chodnika. Jego potężne gałęzie cieniem swym chłodzą czoła spalone upałem i troską życia, a szczyt wysoki i nieruchomy zdaje się tonąć w rozmyślaniach o czémś, co wyższe, czystsze i pogodniejsze od ziemi i ludzi.

Z rozwartych na oścież drzwi Fary, płyną uroczyste dźwięki organów, i lud tam śpiewa ogromnym, pokutnym, błagalnym chórem. U szczytu starego jaworu gałęzie, jak ramiona, wznoszą się w górę. Czy on wspomina o czémś? Czy o coś także błaga to niebo, które od wieków rozwiesza nad nim z kolei swoje błękity i chmury?

Jednak, zdarzało się czasem, że pradziad wpadał w humor wesoły i na swój sposób igrał swawolnie, wraz z igrającą u stóp jego dziatwą. Bywało to w letnie, pogodne wieczory,

kiedy dzieci z całego miasta zbiegały się na zabawę dokoła gładkich trawników, młodziutkich topólek, i ładnej fontanny bulwaru. Kędyś, za zamkiem, Niemnem i franciszkańskim cmentarzem, który tamśródm piasków, jeży się gajem mogiłnych krzyży, słońce zachodziło i przysyłało tu, w sam duszny i opylony środek miasta, swoje ostatnie i najświetniejsze blaski. Olśniewająca w południe białość Fary szarzała i gasła; natomiast młodziutkie topole stawały w złocie całe, po trawnikach biegały purpurowe kółka i wężyki, a wody fontanny spadały w szeroki basen, jak roztopione brylanty. Co za rozkoszna chwila, jakie uciechy dla dziatwy, która tu wielkim, krzykliwym rojem zbiegła się z wązkich zaułków, z ciemnych dziedzińców, z ciasnych klatek mieszkań i szkół? Rzucają piłki, toczą trzciniowe obręcze, sznurami obsiadają niskie płotki, chciwymi oczami łowiąc tańczące na trawnikach słoneczne kręte i strzeliste blaski. Na każdej ścieżce mnóstwo drobnych stópek, pod każdą topólką mnóstwo głów małych, rozczochranych, roześmianych. Ale największy tłum przy fontannie. Drobne dłonie nadstawiają pod ten deszcz brylantów, i zanurzają je w toni srebrzystej, napelniającej metalowy basen. Wtém kilku chłopców z bosemi stopy, a figlarnymi, jak swawolne dzieciństwo, twarzami, wskoczyło na brzeg basenu, piersiami doń przyłgnęło, i z ruchami dzielnych pływaków sunąc po nim zaczęło w kółko, w kółko, coraz prędzej. Hej, jazda po ślizkim metalu, pod ulewą kropel, przemieniającą w fontannę każdy odłam ich głowy, wśród ogłuszającego śmiechu, radosnych skoków i namiętnego klaskania rzeszy małych widzów! Natenczas i stary jawor stawał się czasem wesołym i prawie swawolnym. Jakież rzeźwiące i wonne powiewy przylatywały może ku szczytowi jego od pól i lasów, od szerokich kędyś przestrzeni, a zachodzące słońce na nieprzejrzaną gąszcz jego listowia, rzucało świetną smugę swój światłości. Te powiewy i ta światłość do wezbranego życia budziły roje ptaków, trochę zawsze smutnych i drzemiących w gwarze i pyle miejskim. Podstawa i środek drzewa pozostawały w swój nieruchomości, i nawet coraz bardziej pograżały się w cieniu; lecz dziwnie było patrzeć wtedy na szczyt jego, którego liście, porwane zda się tanecznym wirem, podlatywały jak płochy motyle, migotały jak wielkie iskry srebrne. A w tym roju tańczących i migocących liści, podlatywał, fruwał, różnemi barwami skrzydeł mienił się i huśtał na krawędziach gałęzi rój ptaków szczebioczących, śpiewających coraz gwarniej i krzykliwiej, na wysięgi z mrowiącym się przy ziemi rojem gwarnych, krzykliwych dzieci.

Ale nierzadko przychodziły też dla niego momenta tragiczne. Zaszumiała nad miastem wielka zawieja deszczowa. Po dość obszernej przestrzeni bulwaru wicher huczał i jęczał, ściany domów i poźółkle drzewa smagając falami deszczu. Wtedy, pomiędzy starym jaworem a gromadką młodszego braci, zawiązywały się dziwne rozmowy. Młodziutkie topółki z ruchami gwałtownej trwogi rzucały się na wsze strony, ku ziemi prawie chyłąc swe szczupłe postacie. Młode jeszcze, silne, wysokie topole, oddawały pradziadowi ukłony głębokie, poważnym szumem zdając się zapytywać go o coś; może o dzieje burz i nawałnic, których on przeżył tak wiele, może o walki i losy tych, których w rozkwicie życia porywały i gięły burze. On o tém wszystkiém miał snadź do opowiadania wiele rzeczy ponurych i strasznych. Podstawa jego, niedostępna pociskom wszelkim, pozostawała w nieruchomości niezłomnej, ale szczyt bywał podobnym do rozczochranej i na wsze strony miotającej się głowy. Z szumem, złożonym z frazesów przeciągłych i basowych, wzdymających się aż do krzyku i spływających w ciężkie westchnienia, głowa ta trzęsła się w gniewném oburzeniu, z żalością bez granic kołysała się w strony obie, zgrozą przejęta, zjeżała bezlistne swe włosy, aby po znieruchomieniu chwilowém wściekle zakołysać się znowu i pod biczami uderzającej w nią nawałnicy, zapłakać strugami łez. A gałęzie, jak ramiona rozwierały się szeroko w zdumieniu najwyższém, to z giestem złorzeczenia wznosiły się w górę, to zbliżały się ku sobie na wzór dłoni, które chcą się załamać w rozpacz, to w dół spadały zniemożone, zbolale, z drżeniem upuszczając na ziemię żółte i mokre liście, niby ostatki wspomnień splakanych i ciężkich. Podówczas młode i silne drzewa, pełne przerażeń i bólu, w tył odginały swe smukłe postacie i, prostując się po chwili, muskały się wzajem szczytami, a szmerem gwarliwym zdawały się wołać: co to było! co to było! Młodziutkie zaś topółki, w długi czworobok ustawione, dostawały konwulsji śmiertelnej już trwogi, gięły się w udręczeniu i płaczom wichru wtórowały jękiem: co to będzie? Na obszernym placu zapanowała pustka. Drzwi i okna mieszkań ludzkich pozamykane i milczące, żaloba wilgoci i zmroku okrywa wysokie ściany świątyni i królewskiego domu. Lecz w zmroku jeszcze i potem w grubych ciemnościach nocy, w pogwizdach wi-

chru i plusku deszczowych fal, stary jawor nieustannie opowiada swe straszne, rozpaczne historie. W cichych domowych ścianach słucha ich matka, do snu kołysząca swe dziecię, i pieśń, którą nuci, przybiera nutę smętną i trwożną. Słucha ich mąż, dumający bezsennie nad każdym jutrem każdej burzy, i bladeść bólu spływa mu na zbrudzone czoło. Młodzieniec, któremu poranek życia przychyła do ust kielich nadziei, przypomina sobie, że przyszłość nie będzie mu łatwą, a obudzona dziewczyna szepce strofę proroka: „Niechaj oblubienice nie wieńczą głów swych kwiatami, a orszaki weselne niech się obchodzą bez muzyki trąb i harf!”

*

Było to w godzinę po północy. Na bulwarze bardzo tłumno, ale zarazem i bardzo cicho. Jest to cisza wielkiego zmęczenia i udręczenia tego, które ścisza gardło i zamyka usta. Tam, za tą świątynią, na prawo i lewo, już pusto zupełnie, gdziekolwiek tylko nad polem zniszczenia dziurawe mury świecą oczami, przez które przegląda płonący tam jeszcze ogień. Ogień bucha jeszcze przez liczne okna i szerokie wylomy domu Batorego; ogień obejmuje wysokie i szerokie gmachy po prawicy Fary; ogień tak obficie oświetla plac obszerny, że policzyć-by na nim można wszystkie listki wszystkich drzew, wszystkie liźy wszystkich oczu, wszystkie kurczowe drgania wszystkich ust. Ale te liźy płyną cicho i te usta są oniemiałe. Dosyć walczone już przez godzin wiele; teraz nikt nie ma siły iść, wołać, błagać, dźwigać, modlić się i złorzeczyć, i wszyscy muszą siedzieć po tych trawnikach, po których wczoraj jeszcze tak wesoło płaśały dzieci i igrały złote kółka słoneczne, opuścić ręce zmęczone; przymknąć dymem zgryzione oczy, i twarzą w twarz z płomiennym potworem czekać... czego? jakiegoś dziwnego, nieznanego, w łzach żalu i ohydnie nędzy skapanego jutra. I Fara także zamilkła. Przez dzień cały uderzała ona w niebo rozpaczliwą muzyką swych dzwonów, ale teraz umilkła i z krwistą luną na szerokim czole stoi cicha, niema, czekająca chwili zlitowania. Wichry, które wprzód wściekle szalały, ułożyły się do snu na gorącej pościeli zgliszczów; stary jawor stoi więc także nieruchomy i cichy, zdający się rozmyślać nad jutrem tej nowej burzy.

Wtém, od płonącej w pobliżu budowy, oderwał się złoty wężyk malarzki i po deskach chodnika pomknął sobie żwawo, lekko, nakształt błyszczącej zabawki, rzuconej ręką dziecka. U brzegu chodnika wyprostował się, pochylił się cały naprzód, i zwinny, powiewny, złotym, cienkim pierścieniem objął pień jaworu. Błysnął i przygasł; błysnął znowu, wzdał się i wypuścił z siebie mnóstwo płomiennych języków, które szybko i cicho, w błyskawicznych podskokach i zwrotach, poczęły lizać i kąsać powierzchnię drzewa. Mnożą się one, ogromieją, w powietrzu rozpościerają się jak chorągwie, pną się i skaczą coraz wyżej, coraz głębiej żądła swe w ciało starca zapuszczają. Gałęzi jednak dosięgnąć jeszcze nie mogą; z pniem potężnym, lecz może już w swém wnętrzu noszącym spróchniałość starości, toczą walkę zaciętą i śpieszną. Walka trudna, lecz w pomoc jęj przybywa żużel jakiś, płomyk, może tylko iskra, która niewiedziąc zkąd na czoło starca spadła. Tu, w mgnieniu oka zagorzały gęste jego włosy. Ogromna korona z płomieniotoczyła mu głowę. Tak ze stopami zanurzonemi w ognistej kąpeli i z ognistą koroną u szczytu stał długo niewzruszony, opierający się poźerczemu wrogowi, i tylko zwolna, zcicha, trząsał szerokimi gałęziami. Cóż to? Czy to złudzenie jakieś omamnia czy widzów, zmęczone, i w obraz tej walki z wycieżeniem patrzące? Zakołysał się stary jawor, zakołysał się od pnia aż do szczytu, zlekka wprawdzie, tylko trochę... Minut kilka i znowu wyniosła jego postać pochyliła się już silnie, widocznie, raz w jedną to znowu w inną stronę. I odtąd jeszcze upłynęły długie minuty i kwadransy. Nagle kilka głosów donośnych i nakazujących krzyknęło: „Uciekajcie ludzie!” Tłum w popłochu skupił się w przeciwległej stronie placu. Jawor stał jeszcze i płonął cicho u stóp i u szczytu; tylko środkowe jego gałęzie zcicha, poważnie, smutno zaszumiały. Potém wysoka postać jego chylić się zaczęła zwolna, zwolna, jakby w przedchwili zgonu zdjęta głęboką zadumą. Sztywny, ciężki, z pniem niezupełnie może ognistemi nożami przerzniętym, chylił się tak długo, powoli, a z płomienistej jego korony spływał ku ziemi gruby warkocz iskier. Nagle rozległ się wielki łoskot. Tam, gdzie przed wieki stał pradiad miasta, nie było już nic. Na rozpalonych kamieniach rozciągnięte wielkie jego ciało, wnet ciemne dymy owinęły w kłębiący się, nieprzejrzanie gruby, złotemi nićmi haftowany całun.

...Szczęśliwszyś od nas, stary nasz jaworze, bo nie patrzysz na jutro tej wczorajszej burzy!

V. W KAMIENNYCH ŚCIANACH

Od kilku lat, każdej wiosny miewałam coraz świeże bukiety narcyzów, które zapachem swym napełniały mi całe mieszkanie, a śnieżną białością wdzięcznie odbijały na tle rosnącej za oknami zieleni ogrodu. Z tym, który przynosił mi te kwiaty, zamieniłam najczęściej parę tylko wyrazów przyjacielskiego pozdrowienia, bo bardzo żywy i zawsze coś do czynienia mający, długim rozmowom czasu nie poświęcał; pracowity i pnący się po wzgórzu trudnego dorobku, pracą i czasem innych nie poniewierał. Jednak, niekiedy zasiadał on w kółku moich najbliższych, przy długim stole pełnym przedmiotów, będących istotnymi symbolami naszego życia: książek, dzienników i ręcznych kobiecych robót. Nikomu z nas, ile nas tam było, długie zimowe mroki nie rozjaśniały się temi blaskami piękna i wesołości, które na innych punktach ziemi dopomagają ludziom żyć, walczyć i tworzyć. Pod dachem z chmur i w powietrzu ściśnioném dokonywać się nie mogą żywe towarzyskie i cywilizacyjne ruchy. Ten pokój, za którego oknami szemrały jesienne deszcze, albo huczały zimowe zamiecie, ten stół z tą lampą, te książki, roboty, ten wieniec twarzy zdawna znanych i przyjaznych, było to wszystko, cośmy mieli na długie zimowe ciemności, na odpoczynek i rozveselenie po dniach, spędzonych w pracy, w pracy niezawsze takiej, jaką-byśmy spełniać najbardziej pragnęli i mogli, ale zawsze prawie tylko takiej, dla jakiej pełnienia został nam kęs zagona lub część nieszerokiej ścieżki. W ciszy topniały i nikły ze szmerem deszczów, czasem płakały, z szumem wiatrów ulatywały na nic i na zawsze nieużyte energie, niewysłowione myśli, niedokonane zamiary. Jednak nie bywało u nas ani ponuro, ani beznadziejnie. Może pająki, którym los wzlotów sokolich odmówił, dumne są i spokojne tém, że w kamiennych ścianach i bez słońca, z samych siebie snują tkanki swych szarych pałaców. Nierzadko rozmawialiśmy gwarnie i śmieliśmy się z tego naprzykład, że nikt prawie z pomiędzy nas telefonów i elektrycznego światła dotąd nie widział, choć każdy posiadał sporą dozę pociągu do spraw i tworów ludzkiego rozumu. Codzienne nasze przyjacielskie zebrania, nazywaliśmy naszymi rautami; koncerty występowały nam dokoła domu odgłosy zimowej pogody, a przedstawienia teatralne zastępowały dziwne i pełne gracyi skoki i swawole czarnego kotka. Ktoś bardzo rozumny i wykształcony, ale zarazem, w hałasach miast wielkich wzrosły i żyjący, twierdził raz przede mną, a że istota ludzka, nieuczęszczająca na przedstawienia teatralne, koncerty i rauty, niezwiązująca muzeów i wystaw sztuki i przemysłu, nietowarzyszająca wszystkimi ruchami swęj duszy ruchom cywilizacyi, jest istotą nieucywilizowaną, na-pół dziką: Otóż nie; nie byliśmy dzicy. Tylko, jak wiadomo, pająki nie mogą szybować po jasnych przestworach i dość im, gdy dobrze natrudziwszy swe łapki, zdołają dotrzeć w swym kamiennym kącie. Silniejsze i ponętniejsze z pośród nich przędą i wyciągają szarą swą nitkę wyżej, coraz wyżej; do strefy podświetlonej nie dostaną się nigdy, ale padają na nie odłamy jej blasków. Przędliwszy i wyciągali szare nici nasze wyżej, coraz wyżej i każdy z nas miał w sobie i przed sobą jakiś promień wszechludzkiej światłości.

Właściciel białych narcyzów, tak jak i my nie widział jeszcze telefonów i elektrycznego światła, nie bywał w teatralnych i balowych salach. W naszym kącie ich nie było, a po szerokich przestrzeniach szybować on nie mógł. Pacholęctwo jego przypadło w tę czarną godzinę, gdy drżące grunty wydawały z siebie jakieś mętne i brudne opary, wśród których wielu poślepiło i zanurzyło się w trzęsawiskach, a nikt prawie właściwej sobie miary wzrostu nie dosięgnął.

Z nad roboty lub przerzucanej książki, zawsze z uśmiechem zadowolenia podnosiłam wzrok na rzeźwą i energiczną postać, na odważną i roztrofną twarz tego młodego człowieka, który nie oslepił, trzęsawiska ominął, a choć wszystkie szerokie drogi zamknęły przed nim te ubóstwa i niemoce, które mu na początek życia przypadły, szedł ścieżką wąską, ale prostą i czystą, prosty, czysty i coraz szczęśliwszy.

Czyście kiedy zatrzymali myśl waszą na tém szczególném, nam tylko właściwém, a bardzo ciekawém zjawisku, którem jest grupa ludzi wypracowujących sobie istnienie bez żadnych narzędzi, używanych ku temu gdzieindziej, niewiedzieć czém i jak, ot

tak golemi rękoma, na sposób różny, bez systematu, z mnóstwem różnych umiejętności i bez żadnej wyłącznej umiejętności, okropnie ciężko? Na to zjawisko niebezpieczne, bo kuszące ku przepaściom, smutne, bo marnujące drogocenne siły, składa się przyczyn mnóstwo; lecz ktokolwiek nie przypatrzył się pracownikom tego rzędu, ten nie przeczytał jednej z najciekawszych kart naszego zbiorowego życia i nie zna bólu marnowanych godzin, rozpaczy, stłumionych zdolności, wielkich sił, które w pocie czołapodnoszą — drobne ziarenka piasku. I to jest pewnym, że gdy na gruntach, uprawianych wybornie i ogrzewanych łuskawym klimatem, drobne ziarno wydaje kłos wysoki i bujny, w kątach kamiennych i bez słońca, bohaterskie dusze za cały plon przynoszą prostą czystość i pożyteczność życia.

Zdolności, stłumione przez czarną godzinę, płomieniem zbiegały mu do oczu, a siły, wyrobione w mozolnym dźwiganiu ziarek piasku, energią odbijały się w postawie i ruchach, gdy czasem opowiadał on nam o tych ścieżkach pracy i przemyślności, po których chodził, zanim stanął na tym punkcie swego istnienia, z którego już dalej iść łatwo. Nie lubił tylko ścieżek utartych, kark miał twardy, umysł skłonny do wyszukiwania dróg nowych i było to jego najbardziej indywidualnym znamieniem. Ileż kwadransów i godzin spłynęło nam na rozmowach o tych drogach nowych, na które spoglądaliśmy nietylko z ciasnych wnętrzy pałacyków własnych, ale z tej wysokości, z której widać było, jeżeli nie świat cały, to przynajmniej społeczeństwo rodzinne i zwiłkaną sieć jego najdroższych interesów. Ileż razy podnosiliśmy i oglądali różne oczka tej sieci, które na martwym, a przecież wzburzonym morzu, wydawały się nam wyspami ratunku i obfitości! Miewaliśmy na ustach wyrazy: przemysł, handel, rękodzielnictwo, sztuki budowania i ogrodnictwa, konkurencja, inicjatywa i t. d. i t. d. Oto, jak byliśmy mądrzy. Ale, czyśmy też nigdy poetycznymi nie bywali? Owszem, gdy za oknami rozpościerały się grube ciemności i huczał wicher zimowy, nam, wspomnienia, krzesane przez miłość ziemi i przyrody, przynosiły obrazy cichych i woniejących pól, srebrnych mgieł nad łąkami, złotych rozlogów, po których płyną monotonne nuty pastuszych surm lub rozlegają się zwyczajko i hucznie myśliwskie strzały.

Rozmowy z właścicielem narcyzów lubiłam dla tego, że nie było w nich tej dziwnej i nadewszystko nieznośnej mi pretensjonalności, która na popis wzbijać się usiłuje ku szczytom umysłowym ani dosięgłym, ani nawet zblizka widzianym; było w nich wzajemnie wiele doświadczenia i praktyczności męskiej, krzepkości pracownika, coś z hardości niezawisłego człowieka, częste iskry obywatelskich uczuć a czasem promień tej zdrowej poezji, której źródłem jest miłość dla ziemi, ludzi i wolności. Lubiałam słuchać, kiedy mi opowiadał o różnych procederach prac mechanicznych, o warunkach dobrego pracowania w przemyśle i handlu, o odważnym zawijaniu rękawów do własnoręcznej fizycznej pracy, o biciu się z losem, który przeszkody stawia i niepełnościami wiedzy własnej, która dostatecznych pomocy nie daje. Lubiałam nadewszystko patrzeć na tryumf roztropnej przemyślności i uczciwej pracy, która już takie plony przyniosła, że zapytany przeze mnie: ile też zdobyta już posiadłość i przemysłowe zajęcie, którym się oddawał, zysku mu przynoszą, ten mój dzielny i sympatyczny znajomy, z właściwą sobie różną wesołością odpowiedział:

— Pani! jestem już teraz jak Karol Radziwiłł, który dochodów swych nigdy zliczyć nie mógł!

Dzień dwudziesty ósmy Maja był w tym roku upalny i bardzo pogodny. Około zachodu słońca przechodziłam główną ulicą naszego miasta. Wielka susza panowała oddawna; z bruku, z pod stóp ludzkich i z pod kół dorożek wznosiły się kłęby kurzawy, niezdrowe i przykre wyziewy zalatywały z bocznych ubogich uliczek. Nagle, w najruchliwszym punkcie ulicy, z rozwartą na oścież bramy buchnęła silna woń kwiatów. Było to jakby otworzenie się, wśród zaduchy i prozy miejskiej, czarodziejskiego pudełka z woniami i urokami wsi. Stałam na chwilę i przez wyobraźnię moją przesunął się pospolity, lecz zawsze miły obraz łąki, napełnionej ruchem i brzęczeniem pszczół. Na dolnym piętrze ładnie zbudowanego domu, otwierało się nad chodnikiem kilka nieszczupłych i zasobnych sklepów. Tu, za szybami okien piętrzyły się stosy materiałów piśmiennych; tam, sprzedawano żelazne narzędzia i naczynia; owdzie modniarka rozwiesiła swe barwne wyroby, a tam jeszcze mierzono i wazono towarykolonialne. Jeden z tych sklepów był własnością właściciela tego domu. Wszyscy ci, którzy za ich oknami i otwartymi drzwiami ruszają

się, sprzedają, gwarzą, znani mi, swoi. Znam ich nazwiska, twarze, historie, stosunki; młodzi wzięli się do rzeczy nowych i dobrze im idzie. Są to pająki, które w kamiennych ścianach przędą sobie tkanki swych starych, lecz własnych pałaców, a każdy z nich, wiem o tém, ma jakąś jedną nitkę, którą przędzie i wyciąga wyżej, coraz wyżej. Są to jeszcze pływacze, którzy na martwém morzu znaleźli sobie dawniej zdala omijane wyspy ratunku i obfitości. Jest to nakoniec warsztat, na którym wyrabia się świeża jakaś siła społeczna, przy którym właściciel tego ładnego domu, dawno już jednym z pierwszych stanął i do którego innych zachęcał, zwoływał. Może tu kiedyś rozszerzy się miejsce dla tych, którym ciasno i wzrosną bujne kłosa dla tych, którym ziemia skąpa. Przebaczcie! Jam nie patrzyła nigdy na szerokie, wolne, obfitemi plony okryte przestrzenie, ani mię otaczały niebotyczne szczyty ludzkich bohaterek i mądrości. Oczy moje, przywykły wpatrywać się w zmroki i wśród nich szukać wązkich i błędnych smug światłości, z namiętnym pragnieniem, aby kiedyś zwały się one w jedno wielkie słońce. Przebaczcie więc, że na ten skromny obraz i na tych pajęczych robotników patrząc miałamw duszy namiętny okrzyk; o, niebo dziś tak błękitne, bądź-że im zawsze pogodnym! Zbliżyłam się do otwartej bramy. W głębi dużego dziedzińca, w zieloności kwitnących krzewów, wiejskiemi prawie gankami uśmiechają się oficyny, przez których otwarte okna widać głowy kobiece, schylone nad pracą i słysząc niedbale przygrywanie na skrzypcach. Ale pośrodku tej obszerniej przestrzeni, zmysły wzroku i powonienia uderza ogromny kłęb, a raczej małe pole kwiatów. Narcyzy kwitną jeszcze, a jest ich tak wiele, że bije od nich prawie olśniewająca białość; na tém tle, podobnym do obficie spadłego śniegu, przekwitające tulipany rozpościerają szeroko gorącą czerwoność swych kielichów i rumienią się pąki rozwijających się róż. Dokoła wiszą na krzewach białe, bo już więdnące grona bzu; jaśminy całe w kwieciu, buchają odurzającą wonią; wysmukłe akacje, wśród delikatnych rysunków listowia zwieszają śnieżne, albo żółte kiście. W narcyzach, tulipanach, opadających bzach i rozwijających się różach i jaśminach, dwie malutkie dziewczynki biorą kwiatową kąpiel. Są one tak malutkie, a barwna toń, w której poruszają się, tak wysoką i gęstą, że nad jej powierzchnią wypływają tylko dwie okrągłe, złotowłose główki i dwie okrągłe, rumiane twarzyczki. Czasem pośród zieleni, zabieleje biały fartuszek dziecięcy, powieje nagle, drobne, delikatne ramię, drobna stópka mignie w gęstwinie lodyg, i znowu nic, tylko z kwiatowej kąpieli wyzierające dwie złotowłose, okrągłe, dziecięce główki. Nie samopas dzieci te kąpią się w kwiatkach. Na ławce pod akacją, babunia migoce drutami pończoszki, długie i trudne życie zniżyło i wyszczupliło jej ciało, ale pogoda szczęśliwej starości, zagina liczne zmarszczki jej twarzy w linie uśmiechów. Staruszka i dzieci często spoglądają w górę. W górze na odkrytej galerii drugiego piętra, stoi para młodych i urodliwych ludzi. Ładna szatynka przez ogrodzenie galerii przegina ku dzieciom swą zgrabną, wysmukłą kibić; mężczyzna wodzi dokoła wzrokiem, którego zwykła bystrość i wesołość topi się zwolna w zadumie, o tém może, co już uczynił, wytworzył, albo, co jeszcze uczynić i wywalczyć trzeba. Z ulicy, od szeregu sklepów, dochodzą tu różne gwary, z oficyn wypływają turkoty maszyn do szycia i muzyka skrzypiec, dziewczynki w kwiatkach wybuchają co moment szczebiotem i śmiechem.

Przypominałam sobie, jak przed kilkunastu laty miejsce to było pustem i brzydkim, upadającymi ruderami i zbiornikami śmiecia okrytem; przez myśl mi przemknęły słowa myśliciela: „Pijcie życie z łona ziemi, lecz wzamian lejcie w nią życie!”

Od owego zachodu słońca dwie doby tylko upłynęło, gdy z jednym z przyjaciół moich szłam znowu tą samą ulicą, ku temu samemu miejscu. Tak, jak zawczoraj, na świecie była podobno błękitna i niezmacona pogoda, ale myśmy jej nie widzieli, bo powietrze, w którym posuwaliśmy się zwolna i z trudnością, było tak przejęte pyłem i popiołem, że przez nie, jak przez mgłę, zaledwie dostrzegaliśmy dziwaczne linie zgliszczy, a niebo przybierało pozór podartej i brudnej płachty. Panował tu upał suchy i dławiący. Z każdym odetchnieniem wciągałimy w siebie gorące prochy, które osiadały nam na podniebieniach i w gardłach. Drobne i gorące odłamy węgla, niewiedzieć zkąd, spadały i chwilami deszczem prawie sypały się na głowy i suknie nasze. Chwilami powieki zamykały się nam bezwiednie przed lecącym kłębem czegoś, co grożąc oczom osłepieniem, w twarze cisnęło fale gorących podmuchów. Grunt, po którym stąpaliśmy, połamany w dziwaczne wzgórza i doły, piekł nam stopy suchą i nierówną gorącością. W jednych miejscach te nagromadzenia gruzów i popiołu już ostygły, w innych wciąż jeszcze było tlenie iskier;

gdzie niegdzie, po obu stronach i przed nami, w tej gęstej mgle, nad którą wisiała brudna i podarta płachta obłoków, błyskały jeszcze płomyki, wyrzucające niskie kity dymu i liżące stopy kominów, które, zczerniałe albo plamisto-czerwone, podobne były do nieruchomych skieletów, lub wyprężonych ku niebu ramion. A wszystko tam było tak omglone, wszystkie punkta, na których oczy opierać się zwykły, zniknęły tak doszczętnie, rumowiska i rozdzielające je pustki zakreślały tak błędne zmacone linie, że zaledwie po długim i pilnym wpatrywaniu się w tę otchłań zniszczenia, zdołaliśmy trafić do celu naszej wycieczki. Tu stało kilka ścian wysokich, zczerniałych, podziurawionych szeregami pustych okien, a dokoła niepodobne do określenia, wzdęcia się i zapadlizny powierzchni, to czarne od pokrywającej je warstwy popiołu, to czerwone od potłuczonych cegieł, to białe od wapiennego pyłu, to sucho zjeżone odłamami przepalonych drewnien. Tu i owdzie z pośrodku tych bezkształtnych zwalisk, owiane ruchomą mgłą kurzawy, sterczały krzaki ogołoczone z liścia, zwolna kołyszące czarnymi kitami zwęglonych wierzchołków, albo połamane i zdeptane, rozkładające po gruzach zielone jeszcze gałęzie. Biedne trupy akacyj, wiatle, wysokie i z cieniutkimi ramionami, górowały nad tym ludem pomarłych lub konających roślin. Wewnątrz stojących prosto i szerokimi szramami przerżniętych, zczerniałych dziurawych, okrycia pozbawionych ścian, wznosiło się i dziwnie w oczach plątało fantastyczne nagromadzenie spiętrzonych i w powietrzu zda się wiszących kamieni, cegieł, blach, części kominów, pieców i podłóg. Zresztą, nic, nic z tego, co zawczoraj krzątało się tu, gwarzyło, śmiało się, kwitło. Aniogrodzenia, ani bramy. Obręb i granic tego dziedzińca rozpoznać niepodobna. Na prawo i lewo, przed nami, za nami, jak okiem sięgnąć, pustka graniczy z pustką, gdzieś sterczące ściany, rzędami dziurawych oczu zdala na siebie spoglądają, sterczą kominy różnych wzrostów, bieleją samotne i wśród rozlogów przysadziste piece, suną powietrzem białe lub ciemne kurzawy, a za tym wszystkim, daleko, daleko bystry wzrok dojrzeć może przyćmioną i szarawo ztąd wyglądającą zieloność pól.

Gospodarz tego miejsca, przeskakując wzgórze i doły, wybiegł na nasze spotkanie. A nam wszystko odrazu w pamięci stanęło: i zimowe wieczory nasze, i wiosenne bukiety narcyzów, i to, jak on zdobywał przyszłość, i to, jaką teraz ona dla niego być miała. Podobnym był do żołnierza, wracającego z krótkiej, lecz ciężkiej bitwy. Śniadawa twarz jego, o rysach pociągłych, zciemniała i schudła, oczy nieco przygasty; włosy i obuwie miał białe od pyłu i odzież szeroko podziurawioną przez ogień. Jednak w słowach i uścisku dłoni, któremi nas powitał, nie uczuliśmy ani rozpacz, ani omdlenia. Z dokładnością i nawet malowniczością, w których czuć było zupełną przytomność myśli, i z trochę tylko gorączki w ożywionych giestach i na spieczonych wargach, opowiadał nam, jak się to stało. Z przeciwległych płonących domów ogromne fale ogniaprzebywały powietrzem całą szerokość ulicy i o jego ściany uderzały z hukiem morskich bałwanów. Uderzały, cofały się, miały się w strony różne, aż nakoniec płomienistym płaszczem ściany te objęły. Jednocześnie z pobliskich gmachów wzbil się tuman zapalonych szmat papieru i, szalejąc w powietrzu naksztalt gwiazd spadających, rozsypywał się po dachach. Wytaczane ze sklepów beczki zapalały się w mgnieniu oka i gnane wichrem, podobne do kul ognistych, zataczały się w różne kierunki. Było to morze, wydające z siebie mnóstwo strumieni, tryskające w górę mnóstwem słupów, ścielące się płaszczem olbrzymim, skłębionym, pełnym grzmotowych huków. Wszystko w niem kończyło się, nikło, tonęło, szybko, bez ratunku, z piekielną wspaniałością wielkich katastrof.

Opowiadał w ten sposób, że w pamięci słuchaczy dziwne te obrazy wryły się na zawsze. Ale ludzie żywo wychodzili z tej toni. Więc, żona i dzieci jego, te dwie malutkie dziewczynki, które zawczoraj jeszcze szczebiały w gęstwinie kwiatów, chore z przestrachu, wywiezione daleko, do obcych.

— A stara matka?

— W jakimś kątku kościelnego kurytarza, na zimnych ceglach, pod wilgotnym murem, z wielu, wielu towarzyszkami niedoli.

— A ci młodzi, przedsiębiorczy ludzie, którzy pracowali w owych ładnych sklepach?

Teraz przeciągnął dłonią po włosach i gorzki uśmiech przewinał się mu po ustach:

— Zgubieni!

I zapewne ta nowa droga życia i wzrastania, na którą weszli, na której on sam jednym z pierwszych stanął, tu przynajmniej na długo zgubiona. Uderzyło nas, choć u niego nie zadziwiło to, że w przepaści własnego nieszczęścia dostrzegał jeszcze i liczył straty społeczne.

Tak, rozmawiając z nami, stał na jakiejś belce, wypadkiem spadłej pomiędzy dwie głębokie rozpadliny gruzów, na-pół zwięglonej i kołyszącej się nieco pod jego stopami. Pomyślałam, że było to jakby zobrazowanie tego zachwiania się pod nim materialnych i moralnych podstaw istnienia. Towarzysz mój i ja, mieliśmy oboje myśl, która w nas budziła szczególny niepokój. Wahającym się głosem, towarzysz mój wyraził ją zapytaniem:

— Cóż? Grunt ten swój sprzedasz?

Belka kołysać się przestała, jakby umocniona siłą, z jaką na zapytanie to oparł stopy swe na swych gruzach.

— Nie — odpowiedział — za żadne pieniądze... za nic...

Po chwili zwolna dodał:

— Nie jedne tylko pieniądze...

I nie dokończył. Zmęczonemi oczyma patrzył w górę, na jakiś promyk słońca, który przedarłgęste pyły i złotą strzałę rzucił na nagi, czarny szczyt jego zburzonego gniazda. Potem coś płomiennego i surowego zarazem błysnęło mu w źrenicach i z właściwym sobie energicznym gościem rzekł:

— Tylko trzeba będzie wszystko zaczynać znowu od początku!...

*

...Jeżeli kiedy przebywaliście kraje, w których łaski klimatu łączą się z błogosławieństwami wyborniej uprawy, rośliny nienależące do osobliwych i najdrogocenniejszych gatunków, lecz zdrowe, kształtne, wyrosłe i pożyteczne, nie zachwyciły was i trwogi o całość swą nie budziły. Mnóstwo ich tam było, a choćby jedną z nich przedwcześnie zniszczyła siekiera lub burza — niewiele szkody i żalu, bo zastąpiły-by ją wnet inne. Ale we mgłę zimnej, okrywającej zaniedbane grunta, oko z radością spotyka drzewa proste i silne, liczy je troskliwie i drży o ich całość, bo gdyby zmarniały, widnokrąg przybrał-by postać rozpaczną i na ich miejscu próżne lub jadowite chwasty obrosły-by matkę-ziemie. Proste, silne i kształtne drzewa, choćby nie hesperyjskie, ale rodzime i pożywne owoce rodzące, w mgłach zimnych i na gruntach jałowością zagrożonych, posiadają cenę wielką. Gdy stoją, oko na nich spoczywa z nadzieją, bo spaść z nich może wiele nasion dobrych; gdy wiatr je zgina, ramiona rwą się ku ich podpieraniu; gdyby przepadły, żal byłby, o! jaki żal!... Nieprawdaż? — pytam was o to, wszystkie serca jeszcze żywe — nieprawdaż?

VI. DUMNY SZEWC

Było to w śnieżny zimowy wieczór.

Z małego domku, stojącego na wzgórzu, wielki gwar grubych, rozweselonych głosów i tupot nóg zapamiętałe tańczących, wychodził na wązką, śniegiem uslaną uliczkę, na wiszący nad rzeczką mostek drewniany, na białe od śniegu drzewa zamiejskich ogrodów. Może wesołe te odgłosy nad niskimi dachami uszpionych już domostw, leciały aż na ciche, smutne, ciemne o tej godzinie pola. Tam pewno wiatry, przybywające zdaleka, zapytywały je: gdzie-by powstać mogły? A usłyszawszy, z kądem się, leciały dalej, dalej, szepkami zadziwienia albo szyderskim gwizdem powtarzając: „Patrzcie, patrzcie i oni bawią się czasem!” Poleciały wiatry, poleciały chyże nad ciemnymi, smutnymi polami, ku stromom gdzie słońce pogodnie wschodzi i zachodzi; a na wązkąuliczkę i wiszący nad rzeczką mostek drewniany i śniegiem okryte ogrody, z domku, którego oświetlone okna świeciły na wzgórzu, wychodził wielki gwar grubych, rozweselonych głosów i tupot zapamiętałe tańczących nóg.

Bawili się. Siostra dorożkarza wychodziła za szewca, ale brat, dorożkarz, zbyt ciasne miał mieszkanie, aby mógł w niem liczne towarzystwo zmieścić; pożyczyl tedy sobie na tę noc weselną domku u szewckiego majstra, krewniaka pana młodego, kuma panny młodej. Było to więc wesele i ja na niem byłam, miód i wino piłam...

Na dworze było śnieżno i mroźno, ale w tym domku panował podzwrotnikowy upał. W sionce na beczce dnem do góry przewróconej, paliła się mała i krzywo w mosiężny

lichtarz wprawiona świeczka. Mętne i co chwila kołyszące się jój światło, w zmaconych i pełnych ruchu zarysach ukazywało mozaikę, złożoną z twarzy grubych, opalonych i wąsatych, z bród czarnych, rudawych i siwiejących, z bark szerokich i silnych, z wielkich, ciemnych, żywo poruszających się rąk. Buchały z téj mozaiki głosy, zmieszane a również grube, jak owe twarze i ręce, rozlegały się śmiechy podobne do grzmotów; silnemi były te piersi, które je wydawały i łącno w nich było rozpoznać te same gromkie i basowe tony, któremi brzmiały na ulicach miejskich wołania: „Z drogi! z drogi!” W izbie, do której drzwi sionki stały otworem, działo się wcale co innego. Był to już raczej pokój dobrze oświetlony przez dwie spore lampy, mający kanapę z ogromnemi drewnianemi poręczami i twardeń siedzieniem, żółtą komodę z wazonem włóczkowych kwiatów, rząd żółtych wyplatanych krzesel pod ścianami. Na ścianach wisiały jaskrawe święte obrazki, małe okna przyozdabiały doniczki z mirtem, pelargonią i kaktusami. W kącie siedzieli trzej muzykanci, grający na skrzypcach i basetli, a pośrodku z dziesięć młodych par na zabój tańczyło. Z podłogi nie wznosiła się wcale kurzawa, bo proste i grube jój deski często skrapiano wodą. Krzyków też wielkich nie było, tylko przeraźliwy tupot dwudziestu par nóg, wśród którego zabrzmiał czasem piskliwy od wysilenia wykrzyk komenderującego zabawą tancerza, zadzwoniły śmiechy młodzieńczych gardziel, zaszemrały chichoty dziewcząt. Chłopcy ubrani byli w czarne surduty i wielkie jaskrawe kokardy u szyi, oczy prawie bolały od zielonych, błękitnych, różowych sukien dziewcząt i mnogości papierowych kwiatów, strojących ich proste, lecz grube, czarne lub płowe warkocze. Wszyscy mieli u boków gałązki mirtu, ręce okryte białemi, przeważnie bawełnianemi rękawiczkami, twarze do czerwoności rozpalone i lśniące od potu czoła. Polkę tańczyli tak, jak tańczą ją wszyscy na świecie, niektórzy nawet zgrabnie. Zdarzały się przecież wypadki, że dwie pary wpadały na siebie z rozpędem dwóch spotykających się kul, i z gwałtownością niesłychaną odrzucały się ku dwóm przeciwległym ścianom; że jakiś zbytecznie odstawiony łokieć, kręcąc się wraz ze swym właścicielem, z szybkością myśli uderzał w plecy, głowy, twarze i nosy współtancerzyków, że jedna jakaś para, ugrzęzłszy w ciasnym kącie pomiędzy piecem a drzwiami, na żaden sposób wyjrzeć zeń na przestrzenie szersze nie mogła, a w zamian inna, z dwu bardzo snadź gorących temperamentów złożona, wypuszczała się galopadowem tempem wzdłuż pokoju i wszystko dokoła siebie roztrzaskując, rozbijając, przeskakiwała wysoki próg sionki i uderzała się jak o ścianę o zbitą tam gromadę brodatych mężczyzn, którzy ją witali wesołemi żartami, zapewne też i rubasznemi, ale nie można było tego rozpoznać w zmieszaniu rozmów, śmiechów i tupotów, w zawodzeniach skrzypiec i huku basetli. Syn właściciela domku, młodzieniec, który w Warszawie uczył się sztuki szewskiej i chwilowo tylko przebywał pod rodzicielskim dachem, wznosił rękę w białej, glansowanej rękawiczce i krzyknął: „Kadryla! “ Ztąd i z owad ozwały się protesty; chciano-by jeszcze tańczyć polkę, ale warszawiak w liliowym krawacie, będący przytém pierwszym družbą, komenderował tańcami i wedle woli jego stać się musiało. Tłumnie tedy, żwawo, hucznie tańczyli kadryla; przewodniczący wołał cochwila: *anawan! anarier! szen! ron!* Ale mało kto rozumiał go tu i słuchał, a każdy zato po swojemu robi, co i jak mógł i umiał; zamieszanie w końcu powstało niepojęte i do rozgmatwania niepodobne: tancerze łowili swe tancerki, tancerki za poły surdutów porywały tancerzy, śmiech szalony ogarniał jednych, na twarzach innych malowało się srogie zakłopotanie, wszystkie oczy pały, z warkoczy dziewcząt kwiaty osuwały się za uszy ich i na szyję, barwiste kokardy chłopców przekręcały się aż prawie na karki; łączyli się i rozłączali, tworzyli i rwali koła, ten i ów krzyknął, przytupując: „Hu! ha!” ta i owa jęknęła: „O, Jezus Marya!”, a warszawiak zrywał sobie gardło: nie wołając już, a wrzeszcząc: „*Szen! szen!*” Ręce sobie państwo podawajcie!... Gdzie panna Anna zmyka? Oleś, do kogo, ty durniu, łapę wyciągasz?... Chodź tu, Józie!... Niech panna Aniela nie skacze, a rękę Staškowi poda!... *Ron! ron!* O Jezus Marya, Józefie święty! bydło, nie ludzie!” I omdlewający prawie z wysilenia upadł na krzesło, chustką od nosa jak gąbką ocierając twarz, zalaną strumieniem potu. W ogólnem zamieszaniu, wzajemnem łowieniu się, skokach i śmiechach, *szen* i *ron* trwały bardzo długo, a tymczasem te i owe szerokie plecy, ta i owa czarna lub siwiejąca broda, wysuwały się z sionki, i ostrożnie, ocierając się o ściany, aby tanecznego wiru uniknąć, wchodziły w wązkiedrzewiczki, tuż obok pieca z zielonych cegieł, prowadzące do drugiego pokoju. Był to ostatni już pokój tego mieszkania, mający formę długiej a wązkiej szufladki i uszczuplony znacznie przez dwa wysoko usłane łóżka i długi, wązki stół, zastawiony

różną żywnością. Były tu w glinianych misach i fajansowych talerzach pokrajane kiełbasy, pieczenie i salcesony, przy bochnach chleba, bułkach i serach; stały butelki z wódką, piwem i taniem winem; pośrodku piętrzyła się piramida ciast, nabytych w cukierni. Cała ta spiżarnia stała tu od samego początku weselnej zabawy i w miarę potrzeby odnawiana, stać miała aż do jej końca; kto chciał, przychodził, przekąsywał i zapijał. Pito niewiele, wódki prawie nie dotykano; ten i ów wychylał szklanicę piwa, kobiety w czepcach ze wstążkami, ciemne i pomarszczone ręce wyciągały czasem do butelek z winem i nalawszy go sobie trochę w kieliszek, dwoma palcami, delikatnie, ze wznoszącą się na półmisku piramidy, wyjmowały słodkie ciastko. Siedząc na kufrach, stołkach i łózkach, albo stojąc pod piecem i przy stole, gwarzyli o różnych różnościach, z szerokimi czasem rozmachami rąk, z wybuchami śmiechów, lecz głosami umiarkowanymi, grzecznie, bez sprzeczek i grubijaństwa, jak ludziom poważnym i trzeźwym przystoi. Młodzież w przyległym pokoju tańcząca, hasała, swawoliła, szalala, ale starszyzna do przystojnego zachowywania się widocznie wielką przywiązywała wagę. Nikt tu nie chciał wobec innych uchodzić za gbura albo pijaka i ta dbałość o zachowanie godności w postępkach i słowach, tworzyła główne i rzucające się w oczy piętno towarzystwa tego. Można by rzec, że tych mężczyzn z szerokimi plecami, ciemnymi twarzami i grubymi głosami, jak też u tych kobiet, ubranych w luźne kaftany, staroświeckie mantyle i niepojęte czepce, barczystych, czerwonych, albo od pracy i niedostatku wychudłych i pomarszczonych, — we krwi i starodawnym obyczaju, w pojęciu o honorze i dobrej opinii było coś, co im nie pozwalało łać do gardel palących potoków trunku, zrywać się do burd i bójek, wyrzucać z piersi gradu ohydnych słów. Chciałam sobie wtedy koniecznie zdecydować, czy ludzi, na których patrzyłam, nazywać można cywilizowanymi, choć grubymi głosami mówią, i oj! słabo czytać i pisać umieją? Może najwłaściwiej uważać ich należy za owoc jakiejś cywilizacji, tak dawniej i tak głęboko sięgającej, że bez pomocy piór i atramentu w krew i kości ich przeniknęła? A może jeszcze jest to materiał wyborny do wyższej i doskonałej formy cywilizowanego bytu? Zapewne, wyborny materiał i szkoda tylko, że brak mu Fidyaszów?

Miękkością ducha, pomimo stwardniałej skóry i tą wewnętrzną przystojnością, pomimo grubych form najbardziej ze wszystkich obecnych odznaczał się właściciel domku tego, szewc, Florenty, którego wtedy widziałam po raz pierwszy. Miał on powierzchowność i sposób znajdowania się taki, że ktokolwiek raz nań spojrzeł, powiedzieć musiał: ot mały człeczyna, a niechaj go jaki dumny! Małego wzrostu, ale krzepko zbudowany, twarz miał okrągłą i rumianą, jak dobrze zachowane zimowe jabłko, małe, siwe, błyszczące oczy, mały bardzo zadarty nos, usta rumiane, zawieszistym wąsem ocienione, czoło poszerzone łysiną i drobnymi zmarszczkami porysowane, włosy krótko przystrzyżone, siwiejące. Ubrany był w czarny, cienki tużurek, od którego wesoło odbijał mirtowy bukiet; szerokie i krótkie ręce okrywały mu białe rękawiczki z niezmiernie długimi, więc u końców pustymi palcami. Nie na skrzyni i nie na prostym stołku, ale na krześle z poręczą siedział i jedno ramię przez poręcz przewieszając, drugiem, powolnemi, rozważnemi, pełnemi okrągłości giestami, w takt niby powolnej, rozważnej i okrągło układanej mowy, poruszał. Była to postawa, jaką czasem przybierają panowie, przyjmujący najpoufalszych, a od siebie niższych gości; były to giesty, z jakimi mówcy, którzy zawsze umiarkowanymi pozostać pragną, przedstawiają swe przekonania zgromadzonym dokoła nich słuchaczom. Zkąd wziął on tę postawę, te giesty, ten ruch głowy, nieco w tył odgiętej, przez co nabierała ona wyrazu nakazującej wyższości, przedziwnie sprzeczącego się z jabłkowatą okrągłością i różowością twarzy? Może widział to wszystko u kogoś, do kogo przybywał dla zdjęcia miary na obuwie? Pewniej jednak wypływało to z podniesionej do wyższej potęgi, ale tej samej co i u innych zebranych tu ludzi, troskliwej dbałości o przystojność obyczaju i zachowanie w opinii ludzkiej tytułu człowieka porządnego. Tylko, że obok tego były tu już widoczne dążenia ku elegancji, a bardziej jeszcze ku posiadaniu w społeczeństwie wyższego nad innych znaczenia.

W gwarze rozmów i dochodzącym z przyległego pokoju tanecznym hałasie, nie mogłam słyszeć dokładnie rozmowy, którą z kilku współbiedniakami prowadził, ale z dochodzących mnie jej urywków, zrozumiałam, że opowiadał o radzie miejskiej, której był członkiem, czynił zarzuty niektórym z jej urzędników, wyrzekał na nierównomierność dochodów i rozchodów miasta, tłómaczył słuchaczom swym sposób układania bilansu i poddawania go następnie kontroli wyznaczonych ku temu komisji. Kilka mężczyzn

śluchało go z wytężoną uwagą, sztywnie; wywiędły staruszek, niegdyś podobno cieśla, siwy jak gołąb' i mocno głuchawy, siedząc na stolku pod zielonym piecem i brodę w dwu palcach trzymając, przechylał ucho w stronę mówiącego i z dobrodusznym, głupowatym nieco uśmiechem na zapadłych wargach, głową wciąż na znak twierdzenia kiwał.

Brat panny młodej, dorożkarz, człek lat średnich i herkulesowej postaci, (nieco dziś ściśniętej czarnym tużurkiem) z ogromną ciemną brodą i wielką twarzą czerstwą i porczywą, ogromną swą rękę opuścił na ramię oratora.

— A mnie przyjmiecie do swojej *dumy*, jak sobie własny dom zbuduję — ha?

— Dla czego nie? — z powagą odparł orator — dla czego nie? Jeżeli wybiorą, uważasz? Do jednej wazy rzucają się galki czarne, a do drugiej białe. Jeżeli dostaniesz więcej białych, będziesz radnym, uważasz? jeżeli czarnych, przepadniesz!

Z grzmotowym śmiechem i lekceważeniem oznaczającym ruchem potężnego ramienia dorożkarz odkrzyknął:

— Nie przepadł ja bez waszej *dumy* do tego czasu, nie przepadnę i potem! Dumny ja sobie mogę być i bez *dumy*.

— A niby to dziadzio miał same białe galki! Pewno, że tam i dużo czarnych narzucali! — cienkim głosikiem i drwiącym nieco tonem, zawołał młody garncarz trochę pękaty i przysadzisty, ale z ładną rumianą twarzą i bujnym czarnym wąsikiem. Przed chwilą ociekł on był od kontredansowego *ron* i z kawałem salcesona w jednej ręce, a potężną porczyą pieroga w drugiej, stanął pomiędzy rozmawiającymi. Z odgiętą w tył głową szewc Florenty spojrział na próbującego żartować zeń krewniaka.

— Ty błaznie, kiedy jeszcze takich interesów nie rozumiesz, to milcz! Nie twoim nosem o takich interesach decydować.

A zwracając się do starszych, mówił:

— Jednogłośnie mnie wybrali, jednogłośnie! Ani jednej czarnej nie miałem, jak Boga Kocham! Ja nawet sam nie wiem, za co ludzie mnie tak szanują... i gdzie tylko trzeba coś takiego ważniejszego, uważacie? cośiś takiego nie wymawiając dla publiczności zrobić, tam mnie pchają... ot, łaska Bozka i koniec.

Kilka głosów ozwało się jednogłośnie:

— A czemu? czemu? dla czego nie! Naturalnie; Sprawiedliwie! Pan Florenty do wszystkiego zawsze gotów i wszystko umieć.

Słyszając to majster rósł, ale nie w wysokość tylko w szerokość. Miał w sobie tę osobliwą właściwość, że gdy cokolwiek cieszyło go i dumie jego pochlebiało, rozdymał się jakoś i nakształt gąbki wodą pojonęj pęczniał tak, że niższym wydawał się niż zwykle i zarazem grubszym. Rumiane jego wargi wydymały się trochę pod gęstym, szorstkim wąsem, a siwe oczy zalewała błogość. Powoli, z rozważą podnosząc w górę wskazujący palec, na pochlebne dlań szmery odpowiedział:

— Tak to jest i nie tak. Gotów to ja do wszystkiego, gotów. Czemu nie? Na to pan Bóg dał człowiekowi rozum, żeby on z niego użytek robili czémś na świecie był! Ale umieć, to wszystkiego nie umiem. Ej! gdzie mnie tam wszystko umieć! Żebym był wielką edukacją odebrał, tobym może i nie głupszy był od innych, ale tak, no, człowiek tylko samemu sobie wszystko winien.

Potrząsnął głową i stanowczo dodał:

— Wszystkiego nie umiem. Są rozumniejsi a odemnie, a ja takich szanuję. Bardzo rozumnych ludzi szanuję.

W tém, lekki i śliczny motyl wleciał pomiędzy tych grubych, ciężkich, czarno ubranych ludzi. Siedmioletnia dziewczynka biała, różowa, złotowłosa, w przezroczystej i wstążkami powiewającej sukience, wbiegła pomiędzy gromadkę mężczyzn, którzy też jak podwładni przed zwierchnikiem rozstępowali się przed nią, aż z usty pełnemi szczebiotu wskoczyła na kolana szewca Florentego i szczuple obnażone ramiona swe dokoła szyi jego owinęła — Dziadziu, — głosem i z minkami rozpieszczonego dziecka wołała, — Ignas nie chce tańczyć ze mną i Jaś nie chce i stryjasek Kostuś nie chce i nikt nie chce. Nikt ze mną tańczyć nie chce, a ja chcę tańczyć! Dziadzieńku, doprawdy, ja chcę tańczyć... ta paskudna Zośka powiedziała, że ja jestem błaznica i tylko starszym płacząc się pod nogami...

Na płacz jęj się zbierało. Śliczne, malutkie usta wydymała i rączką coraz gwałtowniej rzucała w powietrzu, powtarzając:

— Ja chcę tańczyć! Dziadziu! doprawdy ja chcę tańczyć!

Godną istotnie uwagi była podówczas zmiana, która zaszła w całej powierzchowności szewca; krótkie i grube jego ramię obejmowało tulącą się mu do piersi dziewczynkę ostrożnie i zlekka; na przychyłonej ku jęj głowie twarzy jego, rozlał się wyraz uczuwanęj przyjemności i drgał w każdęj ze zmarszczek, gęstym rysunkiem okrywających mu czoło i jabłkowate policzki. Skargi jęj uspokajał wpeł żartobliwą, wpeł współczującą perswazyą...

— No, cicho, cicho! będziesz tańczyć, będziesz! Już ja sam Ignacemu powiesz, żeby z tobą potańczył, a Zośce dobrze za ciebie nagadam, nie *bojś*, posłyszysz ona ode mnie!

Dziewczynka wciąż się żaliła: — Paskudna taka, mówi, że ja błaźnica i tylko starszym płacząc się pod nogami...

Szeroka i krótka ręka w białęj rękawiczce, sterczącęj pustemi końcami palców, wyciągnęła się nad stołem i delikatnie zdjęła z półmiska migdałowe ciastko, które wnet znalazło się w drobnych rączkach dziewczynki. Zarazem szewc Florenty wycisnął na jęj czole pocałunek tak prawie głośny, jak pistoletowy wystrzał. — Aj! — krzyknęło dziecko, — wasy! takie u dziadzi kolące wasy! Nie chcę! nie chcę!

Z temi wykrzyknikami i rozkapryszonemi minkami, uchylając się od dalszych pocałunków, któremi obdarzać ją zamierzał, zeskoczyła z jego kolan i, chrupiąc migdałowe ciastko, w mgnieniu oka, jak wiewiórka na drzewo, wdrapała się na barczystego i brodatego dorożkarza, który też z przyjaznym i wesołym śmiechem wziął ją w objęcia. Wyglądało to tak, jak gdyby olbrzym bawił się lalką. Podnosił ją w górę, to huśtał w obie strony, a wielka, czerwona, roześmiana twarz jego, to znikala, to ukazywała się z za powiewnego muślinu jęj sukni i złotych rozwianych włosów. Szewc Florenty zwrócił się do krewniaka, owego przesadziatego garncarza z czarnym wąsikiem, który w tęj chwili, z ustami napełnionemi pieczenią, nalewał sobie do szklanki szumiące piwo.

— Ignacy! — zawołał, — ciekawy jestem, czemu to z dzieckiem troszkę potańczyć nie chciałeś, hę? Ważny kawaler z ciebie! fanaberya! Coby ci to szkodziło dogodzić dziecku, kiedy prosi, hę?

Gniewał się naprawdę i aż sapać zaczął, a napadniętemu w ten sposób chłopakowi uszanowanie nie pozwalało głośno i śmiało replikować. Coś więc tylko niewyraźnego mruknął pod nosem i ukośne spojrzenie rzucił na małą natrętnicę, którą w tęj chwili z objęć potęznego dorożkarza brała żona starego cieśli, dobrze już podstarzała, ale jeszcze czerstwa kobiecina w bezpretensjonalnym luźnym kaftanie i czarnęj jedwabnéj chusteczce na głowie.

— Pójdziem tańczyć! — mówiła do dziecka, — pójdziem; kiedy ten brzydki Ignas nie chce, to już ja z tobą potańczę! Biedna dziecina, nikt z nią tańczyć nie chce! Patrzcie ich! jakie to niedobre chłopcy! pójdziem tańczyć!

I w mazurowy takt podrygując, ze skaczącą przy nięj dziewczynką, babina znikła w sąsiednięj izbie. Zauważyłam, że to dziecko znajdowało się tu jakby w jakięj licznęj rodzinie, różnemi stopniami pokrewieństwa z całym tęp towarzystwem połączone. Nikomu wprawdzie nie mówiła: „ojcze” i „matko, ale wszyscy tu byli jęj dziaduniami, stryjami, ciotkami. Z rąk do rąk i z objęcia w objęcie przechodziła; wszędzie dzwonił jęj dziecięcy, rozkapryszony głosik i widać było grube wielkie ręce, przesuwające się po złotych jęj włosach, lub liliowo-białęj twarzyczce.

Pochwyciłam pierwszą możność zbliżenia się do gospodarza domu i zawiązania z nim znajomości bliższęj. Sprowadziło to ze strony jego i tych, którzy go otaczali, wielki wybuch ceremonii. Szewc Florenty zerwał się z poręczowego krzesła, na którem siedział, i z ukłonami, których posuwistość i balanse tamowanemi były tylko przez wąskość przestrzeni, prosił mię, abym je zajęła, stary cieśla, usiłując jak najmniej miejsca osobą swoją zabierać, tak plecami przyłgnął do pieca, że w słabem oświetleniu izby, podobnym stał się do wyrysowanęj na zielonęm jego tle figurki wątlęgo, siwego staruszka o długim nosie i zadartęj brodzie; dorożkarz, ów z wielką, poczcziwą twarzą i ogromną brodą, skoczył do izby przyłęgłęj po możliwie najwygodniejsze siedzenie; inny chustką od nosa wycierał brzeg stołu, o który opręć się mogłam... Aż nagle wszyscy, dokonawszy już wszelkich możliwych przysług, zmieszali się jakoś, ramiona w dół popuszczali i zwolna cofali się ku

innym kątom izby, albo ku przyległemu pokojowi. Ten po cichu i usta dłonią przysłaniając, chrząknął, ów gruby kark nieco przychylił, tamtemu stanął w wahającej się postawie. To oniesmielenie tych ludzi, podobnych do dębów, miało w sobie coś dziecięcego...

Ale szewc Florenty w najmniejszym stopniu nieśmiałości nie doświadczał. Był on nietylko grzecznym, ale i eleganckim, wyższą kompanią uszanować umiejącym, lecz pewnym, że wymaganiom jęj sprostać potrafi. Na stolku obok mnie siedząc, dłonie na kolanach wsparł i z uśmiechem uprzejmym, z wyrazem zastanowienia w siwych oczkach rozpowiadał, kiedy i jak ten domek nabył i drugi jeszcze, który w arendę wypuszcza, sam zbudował. Niedawno, wcale jeszcze niedawno, dobił się tego własnego kąta, bo choć, dzięki Bogu, nędzy nie zaznał nigdy, rzemiosło w ręku mając, to przecież z różnemi kłopotami i biedami borykać się trzeba było, czworo dzieci hodować i własnemi dwiema rękoma rady sobie dawać. To mówiąc, energicznym gościem ręce dłońmi do góry podniósł, a w téjże chwili biała, glansowana rękawiczka, niezmiernie długa, ale w zamian bardzo wązka rozdarła się i огоłociła szeroki pas skóry czerwono-czarnéj i jak podeszwa twardej. Nie zauważył tego, bo, starannie podtrzymując rozmowę, zapytywał mię, przy której ulicy mieszkam, a potem zauważył, że w téj właśnie części miasta bruk jest najgorszy i oświetlenie w nocy najslabszém. Strasznie lubił mówić o mieście i jego potrzebach, o radzie miejskiej, której jednak nie umiał nazwać inaczej jak „dumą”, i swoim w nięj znaczeniu. Gdy mi już wiele rzeczy powiedział o zajmującym go przedmiocie, zapytałam go zkolei, kim jest ta mała, śliczna i tak tu przez wszystkich lubiana dziewczynka; ku wielkiemu zdziwieniu swemu, spostrzegłam, że fala rumieńca przepłynęła po okrywającym czoło szewca gęstym rysunku zmarszczek. Po raz piérwszy, odkąd go ujrzałam, zmieszał się i z pochyloną twarzą milczał chwilę. Potém wstrząsnął głową i zcicha rzekł:

— Sierotka to jest. Ot, uważa pani, biedne stworzenie, opuszczone...

— Rodzice jęj umarli? — zapytałam znowu.

Mieszał się coraz bardziej, oczy spuszczał, palcami rąk z zakłopotania poruszał.

— Ot, co tu mówić! — szeptał. — Nie umarli... żyją sobie... matka porzuciła...

— Jakaś zapewne bardzo biedna i nieszczęśliwa kobieta?... — zaczęłam.

Podniósł twarz i uśmiechnął się nawpół z politowaniem, nawpół z goryczą:

— Gdzie tam biedna! — odsapnął. — Wcale nie biedna i z pięknej familii... ojciec takóž... Ludzie wszystko wiedzą i o ojcu jęj wiedzą, co on za jeden... bogaty... majątek swój ma... Grzech im wielki!.. Przyjechała... maleństwo kilkodniowe jednym tu ludziom na opiekę zostawiła... pieniądze przysyłać przyrzekła... pojechała i wiadomość wszelka o nięj przepadła... Ot, uważasz pani, jak to z tą dzieciną było i co to jest za grzech!

Wszystko to wypowiedział z pochyloną w dół twarzą, ze spuszczonei powiekami, z wielkiém zawstydzaniem. Potém, jakby usprawiedliwić chciał nieprzystojność podobnego opowiadania, dodał:

— No, cóž robić? Pani jest mężatką, to z panią o takich rzeczach mówić można. Cóż robić, różne wypadki na świecie bywają!

Widać jednak było, że wypadek, o którym była mowa, uważał za niezmiernie osobliwy i ludzkóść zawstydzający. Chciałam dowiedzieć się, u kogo teraz stale przebywało to dziecko i kto się niém wyłącznie opiekował.

— A no — rzekł — będzie już temu lat z pięć jak baba moja zobaczyła raz to maleństwo w nędzy okrutnej zostające i do domu przyniosła. Myśleliśmy z początku, że tymczasowo tylko u nas pobędzie, byle odkarmiło się trochę, bo już tak prawie jak zamierało z głodu, ale potém... i zostało się sobie przy nas... Co robić? Gdzie jest chleba dla sześciu gęb, to już i dla siódmęj wystarczy... A uważa pani, sieroty i Bóg opuszcza nie pozwala i serce człowiecze sprzeciwia się temu... Niech już i tak będzie!

Zauważyłam, że nie tylko dziecka tego nie opuszczają, ale je bardzo pieszczą i stroją. Szewc zaśmiał się dobrotliwie.

— Dobre dziecko... piękne... wesolutkie, to i jakże go nie pieścić? A co się tycze strojów...

Znowu głowę dumnie podniósł.

— No, dzięki Bogu nie braknie i na to... nie braknie...

A potém ciszej i ze spuszczonei znowu oczyma dodał:

— Do tego uważa pani, z pięknej familii to pochodzi... z bardzo pięknej, i po ojcu i po matce... trudno to jak chłopkę hodować.

Przez otwarte drzwi widziałam, jak w izbie przyległej dorożkarz, którego dziewczynka stryjaskiem Kostusiem nazywała, człowiek młody, wysoki, zgrabny, z wielkimi rudemi bokobrodami, odebrał ją babinie, która z nią niby mazura tańczyła i, jak ptaka posadziwszy na swém ramieniu, począł jęć o czémś poważnie prawić. Było coś zupełnieniepospolitego w pieszczotach i czułości, któremi ci ludzie grubi i silni darzyli to stworzenie delikatne i drobne, zdające się istotnie pochodzić z innego niż oni świata. Dziewczynka była wątłą i zgrabną, cerę miała niemal przezroczystą, rączki małe i kształtne. Na ramieniu wysokiego mężczyzny siedząc, różowy policzek do rudych bokobrodów jego przytuliła, a ładnie obute nóżki, na szerokich jego dłoniach oparła. Niósł ją tak ku otwartym drzwiom sionki, a gdy pośrodku izby trudno mu było wymijać tancerzy, basowym, ogromnym głosem wołał:

— Z drogi! héj! z drogi!

Przekorny jakiś chłopak, wzięwszy się w boki, przejście mu zatamował, tonem wesołego przekomarzania się mówiąc:

— A jak nie ustąpię, to co mi pan Konstanty zrobi, kiedy bata przy sobie nie ma!

— Hejże zjeżdżaj! bo mam kulak! — odkrzyknął zaczepiony i z twarzy mu było widać, że w razie potrzeby niedalekim byłby od użycia tego, zawsze przy sobie noszonego oręża, lecz w téjże chwili dziewczynka zaczęła mu coś szeptać do ucha, a on słuchał uważnie, z powagą i, twierdząc kiwając głową, powtarzał: — Dobrze, kotko, dobrze, przyjadę i powiozę! na spacer powiozę! kuliga! héj, héj, kuliga, kuliga!

Zamyśliłam się i nie uważałam kłopotu, w jaki wpadł właściciel domu z powody przerwy, zaszłęj w rozmowie naszej. Wiedział o tém, że gościa zabawiać trzeba. Zerwał się tedy ze stolka, do drzwi poskoczył i wołać zaczął:

— Zosia! Karolcia! Karolcia! Zosia!

Na to wołanie przyskoczyły ku niemu dwie młodziutki dziewczynki, zdyszane od zmęczenia i śmiejące się od przerwanéj wesołéj zapewne rozmowy.

— A co, tatku?

Wziął je za ręce i, do mnie przyprowadziwszy, rekomendował:

— Moje córki: Zofia i Karolina!

Obie miały błękitne suknie, czerwone kwiaty we włosach i korale na szyjach. Hoże i świeże, choć trochę ciężkie i szerokolice, w strojach tych wyglądały ładnie. Bardzo zmieszane stały chwilę ze spuszczonei oczyma; z niewyraźnemi uśmiejkami na ponsowych ustach, skubiąc w rękach grube płócienne chustki do nosa. Wtém, nadbiegła im pomoc w postaci przysadzistego garncarza z czarnym wąsikiem, który z wielkim impetem wysoki próg przeskoczył i zasapany, potem oblany, wołał:

— Karolka! gdzie ty siedzisz, Karolka! Krakowską figurę tańczą... a ciebie dalibóg znaleźć nie można!

Porwał za rękę cioteczną siostrę i mazurowym tempem wypadł z nią do przyległéj izby; to samo z drugą uczynił inny tancerz.

Krakowska figura wrzała. Trójki tancerzy przebiegały w różne strony, a nad tupotem nóg brzęczeniem skrzypiec i huczeniem basetli wznosiły się wywoływane i do wyboru przedstawiane nazwy, które przybierali sobie chłopcy i dziewczęta. Te ostatnie poetyzowały osoby swe, przezywając się różami, fijołkami, konwałjami, stokrotkami. Ktoś jednak zawołał: — Koza i cielę! co wywołało śmiech ogólny i, usuwając z pamięci królestwo roślin, wprowadziło w modę zwierzęta, jako to: wilk i lis, wróbel i słowik, albo zdrobniałe: kotek i ciucia; powstała nawet ztąd sprzeczka, bo dwaj kawalerowie chcieli koniecznie przezwąć się wołem i osłem, ale panna nie zgadzała się za nic na ostatnie, nieprzyzwoite wyrażenie, i zastąpiła je baranem. Inna wyciągnęła z sionki opierających się niby, a w rzeczy saméj bardzo tym wyborem pochlebionych, najwyższych i najpleczystszych brodaczy, a stając z nimi przed jedną z towarzyszek, zawołała:

— Fara i Bernardyny!

Istotnie, gdy, uderzywszy stopami o podłogę, puścili się po izbie, można-by mniemać, że to kościoły poszły w taniec. I w mniejszéj izdebce znajdujące się towarzystwo ożywiało się coraz bardziej. Piwo i tanie wino, choć z wielkiém umiarkowaniem pijane, mężczyznom dodawały werwy i pewności siebie, kobietom na różowo malowały policzki i w coraz większy ruch wprawiały języki. Jedna, długa i cienka, blada i pomarszczona, o chorobach swych i używanych na nie lekach piskliwie i lękliwie opowiadała; inna młoda i żwawa, z palącemi się, roztröpneni oczyma, powierzała sąsiadce zamiar swój założenia

sklepiku z drobiazgami; trzecia, gruba, ciężka i ze złośliwą twarzą, trzęsąc głową ubraną w żółte kwiaty, wyrzekała na męża, dzieci, sąsiadów, złe czasy i złych ludzi; czwarta, młoda jeszcze i dość ładna, ale ze smutną twarzą i trochę marzącym spojrzeniem, ściagała wciąż przez drzwi otwarte zapamiętałe tańczącego męża swego i od czasu do czasu głośno wzdychała. Mężczyźni przychodzili i wychodzili, przekąsywali, prawili koncepty, śmieli się, a czasem i sprzeczali, ale bez kłótni, tylko z coraz żywszemi gestami i ognistym wzrokiem. Nawet stary cieśla, oderwawszy się od zielonego pieca, stał przy stole na swych cieniutkich, trochę drżących nogach i sepleniącemi bo bezzębnymi ustami opowiadał jednej ze starszych kobiet o domu, który sobie przed kilku laty zbudował, a którego ona jeszcze nie widziała. Słuchaczka z twarzy jego przeniosła wzrok na młodego, zgrabnego, w błękitnym krawacie blondyna, który, wbiegłszy do izby, spiesznie kawał kielbasy spożywał, i klasnąwszy rękoma zawołał:

— Ale ja i syna pana Józefata dawno już niewidziałam! O, na jakiego ładnego chłopca wyrósł!

— Ha? co? — ucha ku nię przychylając, pytał mocno głuchawy Józefat.

Kobieta zaczęła krzyczeć:

— Mówię, że syn pana Józefata bardzo ładny chłopiec.

Ze szczęśliwością na twarzy stary odpowiedział:

— A ładny, ładny! Chciałem żonce pamiątkę po sobie zostawić, i ot wziąłem i zbudowałem! He, he, he, he. Ładny domek, ładny domek! He, he he!

— Ja o synu, a on o domku — zawołała kobieta.

Inne parsknęły śmiechem, ale wstydliwie, ze spuszczonej oczyma, albo i całkiem przed niespodzianem *qui pro quo* twarze ku ścianom odwracając. Wtém gospodyni domu, otyła, rumiana i z wesołym obliczem kobieta stanęła w wązkich drzwiach, które całe swoją wyfalbowaną suknią zajęła i, na obie strony przechylając głowę, ubraną w biały czepek z wielkimi różami, po kilka razy powtórzyła:

— Proszę na wieczerzę! Proszę na wieczerzę. Florenty, proś gości na wieczerzę.

Sąsiad mój przerwał sobie opowiadanie o tém, jak bardzo on rozum i rozumnych ludzi szanuje; jak wie, że edukacja to rzecz ważna; jak wielki pociąg czuje sam do większego świata i w skutek tego synana naukę rzemiosła do Warszawy wysłał, bo chłopiec ztamtąd i biegły w rzemiosle i świat znający, i do tego co dobre chętny, powróci, — przerwał sobie to opowiadanie i, porwawszy się ze stołka, gości na wieczerzę zapraszać począł. Zapraszał z ukłonami, które były tak posuwiste i takich balansów i reweransów pełne, że im nigdy przestrzeni dosyć być nie mogło. Zrazu w małej izbie, potem w większej, gdzie tańczyć już zaprzestano, posuwał się z wielkim szastaniem nóg od ściany do ściany, balansując rozpychał sprzęty a czasem i ludzi, podawał się cały naprzód, przez co tużurek jego przybierał formę najpiękniejszej turniury, a przytém w siwych oczkach miał ciepły promień szczerzej dla wszystkich życzliwości i wyraz osobistej godności, nieznikający nigdy z rozszerzonego łysiną i gęstym rysunkiem zmarszczek okrytego czoła.

Nie wiem, czy kiedy znalazłam człowieka, któryby więcej pociągu czuł do wszystkiego, co chociaż w przybliżeniu nazwać się może sprawą publiczną. Zkąd w tym mieszczańinie, mało oświeconym i w grubiej fizycznej pracy życie pędzącym, powstała ta struna duszy, która przez wieki grała tu tylko w piersiach szlacheckich? Najpewniej poruszała ją ta ambicya i chęć wywyższenia się, których wyrazuderzał w postawie jego, twarzy i ruchach. Niewątpliwem wydaje mi się jednak, że była ona czémś odrębnym także, niby późnym owocem starego jakiegoś drzewa, przetrwałością z dawnych innych czasów. Bywają niekiedy dziwne jakieś, mknące promienie w głowach ciemnością napelnionych, niewyraźne jakieś przecucia rzeczy wielkich w piersiach maluczkich. Są to sprawy natury i dziejów, działających przez odziedziczenie pradziadówskich dążeń i wzruszeń, przez wspomnienia głucho i niewyraźnie, lecz głęboko tkwiące w mózgu, przez jedno jakieś uczucie, nie nazwane słowem, lecz w pierś zapadłe bodźcem lub kolcem, przez jeden jakiś strumyk krwi odległego pochodzenia płynący w żyłach. Być może iż pradziad szewca Florentego, kiedyś, w jakichś momentach ważnych lub strasznych, z ciekawością w głowie a niepokojem w sercu, krążył około wielkiego gmachu wznoszącego się nad Niemnem, i sam w toczących się tam rozprawach udziału przyjmować nie mogąc, do rozbrzmiewających

niemi murów przykładał chciwe ucho, łowiąc ich echa, ze wzdętą piersią oczekując ich słów ostatnich. Być może, iż dziad jego, rzemieślnik tak jak i on, lekceważony ale potrzebny, pokorny ale pojętny, wchodził nieraz na pokoje tych, którzy w swych ręku losy publiczne ważyli, to i owo tam widząc i słysząc, nad czém później długo rozmyślał, co w nim budziło cześć albo wzdęć, miłość lub gniew. Być może jeszcze, iż ojciec jego ze wspomnień swego dzieciństwa i pacholęctwa wywoływał wiele rozgłosnych zdarzeń i imion, czyniąc z nich dla swych dzieci opowiadania tak długie, jak są długimi zimowe niedzielne wieczory. Któż dokładnie oznaczyć zdoła, z jakich szerokich pól pochodzą ziarna, które najniespodzianie kiełkują w ciasnych kątach. Drobnymi, nikłymi źdźbłami wyrastają tu one, lecz dajcie im przestrzeń widną, ciepło słońca, swobodną kąpiel w świeżych powietrznych prądach, a może z marnych jałowców przemienią się w mocne buki, i nie bladymi owsy, lecz złotą pszenicą okryją tę ziemię. O, biedne, szlachetne ziarnka wschodzą w ciemnościach, wzrost macie karli i mało jest Kolumbów, którzy ku wam kierowali swe magnesowe igły.

Od wielu lat szewc Florenty przesiadywał dnie, tygodnie i miesiące w swym zasobnym i nigdy nie próżnującym warsztacie, zgarbiony nad kopytem i pocięgiem, machając ręką, uzbrojoną w szydło, prasując skóry galantem, obrzynając je kulisem, przybijając szpilardem, skrobiąc nożem i szkłem, wygładzając raszplem, polerując woskiem, a przy tém wszystkiém coraz więcej czerniąc i stwardzając skórę własnych krótkich i szerokich rąk. Przez mnóstwo dni, tygodni i miesięcy, okrągła, rumiana, jabłkowata twarz jego tak kurczyła się od wytężonego trudu, że stopniowo wytwarzał się na niej tengęsty rysunek drobnych zmarszczek, który ją teraz całą okrywał. Była to niby misterna siatka z cieniutkich porwanych nitek, którą utkała i na zdrowe, czerstwe ciało jego zarzuciła długa i ciężka praca. Przy nim pracowali tak jak i on, synowie i pomocnicy jego; w izbie sąsiedniej gospodyni domu gotowała, prała, szyła; dorastające dziewczęta szyły, prały, haftowały w oczekiwaniu małżeństwa, zarabiając na własną rękę. Po grubej podłodze przechodziły tam i przebiegały boscie stopy; kobiety te w domu chodziły boso, w ubraniu krótkim, luźnym, sprzyjającym oszczędności i zarazem swobodzie ruchów. W przestankach zasiadali wszyscy dokoła stołu, zastawionego grubem ale obfitem jadem. Jadali tłuste i smaczne krupniki, barszcze z wieprzowiną, kasze nieprzenikalnej gęstości; w niedzielę i święta miewali pieczenie i piali piwo i kawę. W niedzielę i święta warsztat był pusty i milczący; szewc Florenty z rodziną i odwiedzającymi go gośćmi przebywał w bawialnym pokoju, zwanym salą. Miewał wtedy na sobie obszerny szlafrok z matery w kwiciste desenie, pantofle, które mu córka wyszyła na kanwie i fajkę z długim cybuchem w rękach. Odpoczywał na twardej kanapie, z ogromną żółtą poręczą, siedząc, albo leżąc, popijał kawę i częstował nią gości, a głowa jego podnosiła się najdumniej i czoło wygładzało się najpogodniej, gdy miał przed kim rozprawiać o rzeczach i sprawach poważnych, jako to: wyborach i urzędach gminnych, o porządkach i nieporządkach miejskich o interesach szewckiego zgromadzenia, którego był cechmistrzem, nakoniec i najbardziej o dostojenstwie i niezmierniej ważności ludzkiego rozumu.

Rozumnym zaś człowiekiem nie był w mniemaniu jego ani kupiec, w spekulacych swych szczęśliwy, ani urzędnik niewiadomym mu sposobem na dostojność swą wyniesiony, ani ten, który posiadał wiele ziemi, ani ten, którego pierś połyskiwała srebrnymi i złotymi znakami zasług. Rozumny, znaczyło dla niego ten, kto wiele uczył się, i kto publicznie działał lub przemawiał. Do dzieci i gości swych mawiał:

— Doktor... uważacie? doktor, co ludzi w nieszczęściu ratuje, adwokat... uważacie, taki, co jak językiem zamieje, to człowiekowi zdaje się, że mu aniołowie niebieskie pieśni zaśpiewali... ot to są ludzie... niech ich! człowiek by kawał życia oddał za krztę ich rozumu.

Potém z wyrazem głębokiego namysłu prawil dalej:

— Hm... panie dobrodzieju... kto tam więcej? aha! uważacie? a te? co książki piszą! no, to już wszelkie pojęcie przechodzi, żeby taki rozum mieć! Przed takim to-by już człowiek, jak Boga kocham, i plackiem na ziemię padł.

Czasem wśród poważnych tych rozpraw śmiało się do rozpuku z figłów i szczebiotu malęj, delikatnej, świątecznie ustrojonej dziewczynki, która, jak rozpieszczona kocie, wiła się po jego grubej kościstej postaci, drobnymi rękoma targając mu szorstkie wąsy lub głaszcząc lysinę. Potém, po świątecznych wizytach, traktamentach i rozprawach, w sali o dwóch okienkach przysłoniętych perkalowemi frankami i wazonami z mirtem

i pelargonią, zapanowała świąteczna także cisza. Na szerokiej twardej kanapie, w cieniu wysokiej drewnianej poręczy szarzała gruba, kwiecistym szlafrokiem owinięta postać głęboko uspiętego szewca. Z jednej strony głowa jego, oparta na włóczkowej poduszce, w białawym, zimowym zmroku świeciła rozszerzającą czoło łysiną i rumianością wydeitych policzków, z innej nieruchomo sterczały dwie wielkie stopy w płaskich barwistych pantoflach. Śpiąc sapał, chrapał, gwizdał, a przy nim grubem i krótkim ramieniem jego objęta, równie głęboko jak on, tylko bardzo cicho usypiała śliczna i delikatna sierota „z wielkiej familii”, złote swe miękkie włosy rozsypując mu na szorstkie wąsy, twarde ręce i kwiecisty szlafrok.

Jednak, ani dwa domki, nabyte za oszczędność całego życia, ani byt względnie dostatni, ani niedzielne rozrywki, zbytki i spoczynki, nie czyniły go tak doskonale szczęśliwym, jak jakakolwiek dana mu do spełnienia funkcja publiczna. Raz, niedawno temu, bo za ledwie przed rokiem, w sali sądowej, i w chwili poprzedzającej rozpoczęcie się sądowych rozpraw, siedząca obok mnie, przyjaciółka moja pochwyciła mnie nagle za rękę:

— Patrz! patrz! kto to? co on robi? czego on chce? — pytała szeptem zadziwionym i nawet trochę jakby przelęknionym.

Zaprzona w daleki punkt wielkiej sali, zwróciłam wzrok w kierunku jęj spojrzenia i zobaczyłam szewca Florentego, który usiłował zwrócić na siebie uwagę moję ukłonami, nad wszelki wyraz uprzejmymi i uszanowania pełnymi; przed szeregiem na wpół jeszcze niezajętych przez publiczność ławek, wśród mnóstwa w różne kierunki idących i biejących ludzi, z wlepionym we mnie wzrokiem, posuwicie i z głośnym szelestem nóg przesuwał się on przez całą prawie szerokość sali, od wysokiej i wielkiej ławy sędziów przysięgłych, aż prawie do pulpitu, wznoszącego się przed ławką adwokatów, zwinnie wymijając wszelkie przeszkody, w różne strony balansując swą krępą i silną postać, z wyrazem dziwnej błogości na okrągłej twarzy. Nie mogłam zrazu odgadnąć, po co on tu przyszedł w dzień powszedni i dla czego tak sobie dumnie i radośnie poczyną, na czele wszystkiego i wszystkich... Wtedy dopiero, gdy z odgłosem dzwonka porządek zapanował w sali, z miejsca które pośpiesznie zajął mój znajomy, domyśliłam się, że należał on dnia tego do poczty sędziów przysięgłych. O, zaszczycie i radości, jeszcze przecież niezupełne i niepewne! bo któż odgadnie tajemnice i bolesne nieraz ironie losu? Z trzydziestu sześciu wskazanych w tej chwili, a parę długich ław zasiadających ludzi, los, traf, wybrać mają imion dwanaście. Czy jednym z nich będzie jego imię? Szare oczki jego, bardzo w tej chwili błyszczące, z wyteżeniem niezmiernym ścigają rękę przewodniczącego sądowni, która podnosi się, dotyka urny, wstrząsa nią, zapuszcza się w jęj głębią. Jednocześnie prawa ręka zapalczego miłośnika obywatelskich czynności podnosi się zwolna ku czołu, z czoła spływa na piersi, nieznacznie przesuwa się po obu ramionach, zarazem rumiane wargi jego poruszają się tajemnie, bardzo nieznacznie. Wierście ludzie, czy nie wierście! przeżegnał się on i zmówił pacierz na tę intencją, aby go dziś spodziewana godność i praca nie ominęły. Wyrok losu zapada. Imię jego wraz z najskromniejszym na świecie mieszczańskim nazwiskiem rozlega się po sali. Wstaje, wstępuje na stopnie wysokiej ławy i, zasiadłszy na niej, spogląda z wysokości swęj na publiczność, oczyma błyszczącymi jak dwie gwiazdy szczęścia. Spozstrzega wkrótce kilku swych znajomych i poczyną witać ich skinieniem głowy, uśmiechami, mruganiem oczu. Widać, że zaszczyt, jaki go spotkał, ukazać by pragnął całemu światu. Potęm ostrzeżono go, że tych kiwań głową i mrugań oczyma z miejsca tego dokonywać niewolno. Tymczasem przecież uszło to jakoś wszelkiej uwagi, a skończyło się wtedy dopiero, gdy, po złożonej przysiędze, sędziowie wsłuchywać się zaczęli w wytaczaną przed nimi sprawę. Wszyscy słuchali uważnie, ale najgłębsze skupienie ducha i najsilniejsze wyteżenie myśli widać było na twarzy tego szewca. Widać z niej także było, że treść i sens rzeczy przenikał dośj pojętnie i że z dwóch nasilniejszych żądj jego istoty: wywyższenia się i działania, pierwsza doszczętnie znikła przed drugą.

Po srogim zniszczeniu, któremu w piękny majowy dzień uległo to miasto, nikt przez całe dni parę, ani przypuszczał, że domki szewca Florentego zniszczonymi także zostały. Gdzie tam! Jakże to być może, aby dotknęło go wielkie, osobiste nieszczęście, skoro go wszyscy wszędy widzą ruchliwym, niesłychanie zajęтым, pełniącym mnóstwo rozmaitych czynności, przywiązanych do dwu urzędów, które piastuje: radnego w zarządzie miejskim i urzędowego wobec władz przedstawiciela mieszczaństwa? Co dzieje się z szew-

cem Florentym? A nic; zapewne dobrze, bo widziano go, jak na dworcu kolei odbiera transporty chleba, przysłane przez sąsiednie miasta. Zapewne uniknął nieszczęścia, bo z rozporządzenia miejskiego zarządu wskazuje tymczasowe schronienia tym, których jedynym dachem zostały obłoki niebieskie. Najpewniej uratował swe mienie, bo prawie od rana do nocy, z pomocą kilku innych ludzi, rozdaje tysiącom zgłodniałych talony na żywność, w którą je zaopatrzyło miłosierdzie ludzkie, lecz w której rozdanie zachowywać należy baczny i ścisły porządek. Czyżby mógł tak biegać, rozporządzać się, pracować, tyle usług oddawać innym, gdyby sam cierpiał? Wiadomo przecież, że w cierpieniu takim, w którym człowiek nie wie, gdzie przed ciemnościami nocy schroni głowę swoją i swoich, ani czém z powstającym dniem jutrzejszym napełni żołądek swój i swoich, nikt o zmęczone głowy i głodne żołądki cudze troszczyć się nie może. A zwłaszcza taki sobie prosty, prawie ciemny, maluczki człowieczek! Gdzie-by mu tam do takiego zapomnienia o niedoli własnej! Ot, siadł-by na swych gruzach i płakał albo złorzeczył, a potem wstał-by i szedł dla tego, aby rękę wyciągać, o pomoc prosić, żebrać... Jeżeli tak rusza się, pracuje, innym pomaga i o nic nikogo nie prosi, to pewnie dla tego, że mu się nic złego nie stało.

Dzień był czerwcowy, cichy i skwarny. W ulewie słonecznych światła, w strasznym upale, owiany gorącym pyłem wapna i popiołu, na środkowym placu spalonego miasta, cisnął się tłum ogromny, tak ogromny i stłoczony, że głowy, twarze, kształty ciał, kroje i barwy ubrań, zlewały się w jedną, olbrzymią masę, której pojedynczych cząstek ani rozpoznać, ani nawet spostrzegać było niepodobna. Masa ta ani krzyczała, ani dokonywała żadnych gwałtownych ruchów. Leciał tylko od niej i w powietrze pełne kurzawy, skwaru i oślepiających słonecznych blasków wzbijał się szmer podobny do szumu rozbudzonej fali wodnej, monotony, ciągły, głuchy, chwilami tylko przybierający brzmienia przeciągłego jęku. Powoli, z ciężkością i nierównością, cechującą poruszanie się przedmiotów, których składowe cząstki wzajem sobie drogę tamują i wzajem na siebie następują, masa ta parla się przez plac obszerny wciąż naprzód, naprzód, najściśliwszą, najniewyraźniejszą i najgłośniejszą szumiącą stając się w tym jego punkcie, gdzie w jakiejś starej i nieobszerniej budowie, postradawszy swój gmach obszerny i ozdobny, działania swe tymczasowo pełnił zarząd miasta. Jednym z tych działań teraz najgwałtowniej niezbędnych, było rozdawanie żywności tym tysiącom, którym własne doszczętne ogołocenie i chwilowe ustanie tu wszelkiej pracy ludzkiej, groziły głodową śmiercią. Od dnia katastrofy, dwie doby zaledwie upłynęły, a już głód, lzy, choroba złożyły na kilkunastu tysiącach tych twarzy ludzkich swe kościste i blade piętno. Na placu, w ściśliwej i niewysłowienie pstrój mozajce tłumy, piętna tego dostrzedz nie było można; natomiast czémś męczeńskim i czasem trupięm uderzało ono wzrok każdego, kto przeniknąć zdołał do niedużej, niskiej, brudnej izby, będącej tu nieraz istotną ratunkową stacją dla tonących. W pobliżu ściany przeciwległej otwartym na oścież dzwiom, pomiędzy dwoma małymi oknami, których mętne szyby błękitniały od błękitnego dziś jak turkus nieba, ustawiono niską, drewnianą baryerę, za którą, przy długim, prostym stole kilku ludzi pośpiesznie pisało, a kilku innych w stojącej postawie, również pośpiesznie rozdawało wązkie i długie kartki. Te kartki miały dla tych osób niejako znaczenie paszportów do raju, którym były składy przeznaczonej dla nich żywności, a pośpiech w ich rozdawaniu okazywał się tak koniecznym, jak ten tłum był wielkim i jak jest dla ludzi strasznym dzień, przepędzony bez chleba. Przez drzwi rozwarte na oścież wchodził tu mężczyźni i kobiety, starcy i niedorostki, wszyscy z ręką wyciągającą się naprzód, z otwartymi od przyśpieszonego oddechu ustami, oczy zapadłe, szeroko rozwarte wlepiając w twarze stojących za stołem ludzi.

Jednym z ludzi stojących za stołem i rozdających owe małe i zbawcze kartki, był szewc Florenty. Od pierwszego spojrzenia poznać można było, że zawczoraj znajdował się on był w srogim ogniu. Surdut jego u piersi i na połach miał dziury różnych wielkości, ale wszystkie rudawą obwódka otoczone. Języki ognia liźnęły mu nietylko ubranie, lecz w wielu miejscach i ciało: lewa jego ręka owinięta była płócienną brudną szmatą, na prawej sinią i czerwieniałą się szeroka blizna; szyja, od konchny usznój aż po osmalony brzeg surduta, wydawała się odartą ze skóry. Czysto i nawet z niejaką starannością ubierający się zazwyczaj, teraz wyglądał na obdartusa, okaleczonego w jakiejś burdzie, bo i na jednym z jego policzków wydatnie uwypuklał się siny guz od silnego uderzenia pochodzący, a przez część czoła i łysinę, biegła mu krwawej barwy kręsa. Zresztą, ów gęsty rysunek drobnych zmarszczek, który mu na twarz czerstwą zarzuciła była oddawna

praca nad pocięciem, nożycami, galantem i raszplem, zgęstniała teraz widocznie. Postarzał o lat kilka; małe siwe jego oczki głęboko zapadły i z głębin ocienionych kościstemi i włosistymi brwiami świeciły jak dwie małe, srebrne iskry. A świeciły one tak dla tego, że psychiczny stan, w którym znajdował się ich właściciel, był istotnym atakiem gorliwości i zapału. W niskiej, niedużej i co chwilę przeludniającej się izbie, panowała nieopisana duszność i gorącość, na łysinę i czoło szewca występowały krople potu, którym też jak politurą świeciły przyblakłe nieco, lecz jeszcze rumiane jego policzki; rany, blizny i guzy sprawione przez ogień i uderzenia jakichś twardych przedmiotów w tej szczególnej spiece i kurzawie boląc go też musiały srodze. Ale on tego wszystkiego zdawał się nie czuć i może istotnie nie czuł, bo wielką, choć wielunieznaną jest władza czynnego ducha nad cierpiącym ciałem. Zdawał widziały, przypominał on owe dawne telegraficzne przyrządy z wiecznie i szybko poruszającymi się ramionami. Ramiona jego i całe zresztą ciało w nieustannym zostawało ruchu. Brał kartki od ludzi, którzy na nich szybko kreślili imiona i cyfry, podawał je mnóstwu wyciągających się nad baryerą rąk, wnet śpieszył po inne i ku innym, krótkimi urywanymi słowy napędzał do pośpiechu, tych gromił za natarczywość, owych łagodnie uspokajał, niby pokorny sługa tego tłumy; dogodzić mu, ucieszyć go usiłował.

Za mnóstwem innych ludzi, przez drzwi wciąż otwarte, wcisnęła się do izby dziewczyna, w krótkiej spódnicy i wielkiej chustce, zarzuconej na głowę, a wpół tylko ukazującej twarz młodzieńką i bladą, z dwojgiem błękitnych jak niezabudki, strwożonych i łzawych oczu. Poznałam w niej jedną z córek szewca Florentego, choć z tą przychudłą i pobladłą twarzą i w tym ubogim ubraniu zaledwie zlekka przypominała ową dziewczynę hożą i roześmianą w weselnej błękitnej sukni, czerwonych koralach i różach. Dotknęłam jej ramienia; spostrzegłszy mnie, przyjaźnie skinęła głową, ale wnet znowu przez tłum dążyć zaczęła ku baryerze i stołowi. Pilno jej tam było dojść widocznie, jednak zatrzymałam ją znowu.

— Co z wami? — zapytałam z cicha.

— A cóż — odpowiedziała — to samo, co ze wszystkimi...

— Spaliło się?

— Ze wszystkiém.

— Gdzież mieszkacie?

— Na swoim gruncie. Wyratowaliśmy trzy ścianki...

— Jakto trzy ścianki?

— A tak... trzy ścianki jednej izby.

Mówiąc to, tłómaczyła słowa te giestami, rysując niby w powietrzu mały trójkąt, przyczém, wysunęła z pod chustki ręce czerwone, poplamione krwawymi szramami i sinymi bliznami. Widać było z tych rąk, że i ona także brała udział w bronienu owych trzech ścianek.

— Z dachem? — spytałam.

— Gdzie tam!...

— I czwartej ścianki niéma?

— A z kądżeby była. Trzy tylko ścianki wyratowaliśmy od tej izby, co to, może pani pamięta, z warsztatu ojca na lewo...

— Aha! A warsztat ojca?

— A niéma.

— I narzędzia, zapasy...

— Niéma.

— Jakże?... pod temi trzema ściankami... bez dachu i czwartej ścianki?

— To nic! Ale matka chora... paraliż ją tknął przestachu, czy czegoś tam... albo ja wiem? Leży na golój ziemi jak martwa.

— Na golój ziemi? Czyż nie mieliście wcale pieniędzy?

— To co, że mieli? Troszkę mieli...

Tym razem przez przerzedzony nieco tłum zwauięj posunęła się ku baryerze. Tam stanęła i swe błękitne, wilgotne oczy w ojca wlepiała.

— Tatku — rzekła z cicha — dajcie talon na chleb.

Czy nie słyszał słów jej, albo też słyszc ich nie chciał? Jak wprzódy ramionami machał w prawo i lewo; od ludzi piszących do tych, którzy nad baryerą ręce wyciągali,

przebiegał, kartki rozdawał, krótkie, urywane zapytania i odpowiedzi wymawiał, córki nie spostrzegając lub udając, że jej nie spostrzega. Ona po chwili powtórzyła głośniej:

— Tatu, dajcie talon na chleb.

I wyciągnąwszy nad baryerę rękę, schwyciła go za rękaw surduta.

— A co tam? czego chcesz? czego tu przyszłaś? — sarknął prawie gniewnie patrząc na nią i zarazem unikając jej spojrzenia.

— Talon na chleb dajcie... ani kruszyny w domu niema.

Zdawało się, że na łysinę i policzki wystąpiły mu bujniejsze niż przedtém krople potu, szare oczki z zagłębien swych rzuciły stalowe błyski.

— No — zaczął — idź sobie! prędko! marsz. Co to? Talonu! talonu!... Żebraczka jesteś czy co? Albo może ja żebrak?

Mówił te słowa głosem zdławionym, krztusząc się jakimś wewnętrznym kaszlem i podziurawionym rękawem surduta pot z łysiny i czoła ocierał. Oczy dziewczyny stały się więcej jeszcze wilgotne i trwożne niż wprzód. Głośniej już znacznie mówić zaczęła:

— To cóż ja zrobię? Wszyscy jeść chcą... Za te trzy ruble, co mi daliście wczoraj rano, kupiłam matce koszulę na zmianę i trzy łokcie sukna do zasłania na ziemi, grubego płótna na koldrę, i troszkę herbaty...

Wylizwała by wydatki swe dłużej jeszcze, ale ojciec ze zjeżonemi brwiami i takim już mnóstwem zmarszczek na twarzy, że wydawała się ona dziwnie zmaląłą i cała skurczoną, sięgnął ręką za klapę surduta i po chwili wydobył ztamtąd rublowy papierek.

— Na, masz, idź sobie ztąd... Chleba kup, a dla matki bułkę, bo chora...

— Ale wydawajcie, tatu, pieniądze, wydawajcie!... A za co czwartą ścianę i dach zrobicie, i łóżko dla matki kupicie, bo doktor powiedział, że jak będzie na gołej ziemi leżąc, to wnet zamrze, i braciom odziać się trzeba, bo bez surdutów chodzą, i Zośka ma tylko jedną koszulę, i...

— Cicho bądź! — krzyknął prawie szewc i niespokojnie obejrzał się dokoła. Lękał się, aby ludzie o terażniejszej nędzy jego nie usłyszeli, o! lękał się, aby nie usłyszeli oni, że dzieci jego koszul nie mają, a żona, jak żona żebraka, chora leży na ziemi.

— Dajcie talon — jęczała dziewczyna — przynajmniej chleba nie kupim... teraz taki drogi i niewiedzieć gdzie po niego biegać...

Przez minut kilka ciężko ze sobą walczył, myślał, brwi i wąsy jeżył, sapał głośno i w ziemię patrzył. Nakoniec, ruchem powolnym, ciężkim schylił się nad jednym z piszących:

— Dla siedmiu osób — szepnął.

Kiedy oddawał córce kartkę na chleb, przez miłosiedzie publiczne rozdawany, w siwych oczkach jego zagasy całkiem świecące w nich przedtém stalowe iskry, a gdy dziewczyna z papierkiem w palcach szybko odeszła, stał jeszcze chwilę ze zwieszoną głową i opuszczonemi rękoma, z postawą i miną człowieka, którego obuchem w głowę uderzono. Nakoniec, szybkim ruchem zwrócił się twarzą ku ścianie i, przycisnąwszy oczy zwierzchnią stroną swęj oparzonej ręki, zapłakał krótko, ale tak, że aż się mu zatrzęsły szerokie i w tej chwili zgarbione ramiona. Zapłakał nad tēm, że przyjąć musiał jałmużnę. Patrzenie państwo! Czy widział kto kiedy takiego dumnego szewca?

VII. JASKÓŁKI

Niema pewnie nikogo, kto by nie doświadczał nagłych przypomnień rzeczy, oddawna opuszczonych przez pamięć i serce, niespodziewanych zmartwychwstań momentów, dawno pomarłych na drogach przeszłości. Momenty ważne, zdarzenia, co jak snyczyrze uderzeniami młotów losowi naszemu kształt jego nadały, główne motywy długiej pieśni życia są nam wiecznie przytomne i rozstać się z nami nie mogą, tak, jak nie może człowiek wyrzucić z siebie tego, co w nim zapala codzien weselne lub pogrzebowe pochodnie. Lecz drobne wypadki, małe sceny, wrażenia przelotne, związki szybko zerwane, które przecież kiedyś posiadały dla nas swój wdzięk lub swoją szpetność i zwiłżały nam podniebienie kroplami miodu lub żółci, rychło płowieją, mdleją i napozór znikają bez śladu. Zapewne jednak nakształdrobnych pyłków wkradają się one tylko w zakątki naszego mózgu, bo wystarcza niekiedy jednego, niewiedzieć skąd przybyłego powiewu, aby je wywiać ztamtąd i wskrzesić w pamięci z całą pełnią i barwą ich dawnego przelotnego życia. Powiem

takim bywa najczęściej jakieś drobne zjawisko zewnętrznego świata, wywierające działanie swe przez analogią rysów światła, dźwięku, woni. Dwa czémś do siebie podobne, a wielką przestrzenią czasu rozdzielone momenty, zbiegają się z sobą i niespodziewanie, nagle, krzeszą przypomnienie czegoś, o czém nie przypomnieliśmy sobie ni razu przez miesiące, lata, dziesiątki lat.

Jaskółki, które ogromném stadem latały nad zgłiszczami starego, wielkiego gmachu; barwy i blaski nieba, pod które z krzykiem i łopotem skrzydeł wzbijały się one, jedno z najwyższych okien tego gmachu, czarne teraz i puste jak trupia żrenica, przypomniały mi dawny, krótki, nigdy dotąd nie wspomniany moment nietylko mojej przeszłości.

*

Była to po powrocie z pensyi pierwsza przyjaciółka moja. Obie nas uznano za dorosłe panny i jako takie w świat wprowadzono, choć naprawdę, byliśmy jeszcze dziećmi, mając niewiele więcej nad lat piętnaście. Traf zrządził, że łączyło nas mnóstwo podobieństw i wspólności powierzchownych zresztą i głębi istot naszych nie sięgających, ale które podówczas wystarczały do wskrzeszania żywej pomiędzy nami sympaty i zawiązania poufałego, pospolicie przyjaźnią nazwanego stosunku. Jednostajnego wzrostu, drobne i wątłe obie, miałyśmy jednostajny kolor włosów i oczu i jednostajną niezgrabność w długie suknie ubranych podlotków. Nietylko przecież nieukończony rozwój fizyczny sprawiał, że ruchy nasze, a potroszę i kształty przypominały młode gąski, po raz pierwszy puszczone na wodę. Jedna z nas tylko co opuściła klasztorną pensyą, druga dom wiejski, wcale prawie nieuczęszczany. Moralne i umysłowe istoty nasze zostawały w fazie zaczątkowości, nieświadome świata, ludzi i siebie samych, najmniejszym nawet przecuciem, nieodgadujące przyszłych swych sił i przeznaczeń. Byłyśmy sobie do tego stopnia rówieśnicami, że przyszłyśmy na świat nietylko w jednym roku, ale i w jednym miesiącu. Miesiącem tym był maj, co ówczesni znajomi nasi brali za asumpt do wróżb szczęśliwych, albowiem jest to najpiękniejszy i najweselszy miesiąc w roku. Wprawdzie, naprzekór tym wróżbom, los uczynił nas współsierotami, mnie bardzo wczesnie ojca, jęj matkę odbierając; ale niezmiernie zajęte rolą dorosłych panien, którąśmy z rozporządzenia starszych odgrywały, nie myślałyśmy o tém podówczas i nie miałyśmy żadnych smutków, któremibyśmy dzielić się mogły. Wzamian, bawiłyśmy się wspólnie.

Dziwném się to teraz wydaje i obszernych objaśnień wymaga, ale faktem jest przez wielu jeszcze pamiętanym, że w przededniu najmniej pewno zabawnej epoki naszych dziejów dla całej licznej i możnej grupy ludzi, jedyném prawie hasłem i najwyraźniejszym celem życia, była: zabawa! Bawiono się wszędzie, zawsze, w sposoby najrozmaitsze i dla wszelkich możliwych pretekstów. Wizyty, obiady, wieczory, tańce, polowania, karty, majówki, kuligi, wrzały po wsiach i miastach. Dnie ciszy, skupienia i jakiegokolwiek pracy zdarzały się czasem, tygodnie bardzo rzadko, miesiące nigdy. Wiele rodzin, żyjących stale na wsi, przepędzało w mieście kilka zimowych miesięcy, że zaś przy nieistnieniu kolei żelaznych odległe podróże przedstawiały wiele trudności, miasta prowincjonalne napełniały się każdéj zimy znaczną ilością tych przybyszów, salony i saloniki, przedstawiały codziennie widok strojnych, gwarnych, grających, śpiewających i tańczących zebrań, ulice roily się powozami i końmi, wnętrza kościołów płonęły często rześistém światłem, wśród którego tysiączne tłumy chciwie spoglądały na widowiska wspaniałych uroczystości ślubnych. W tym gwarze i zamęcie, pośród panien, naprawdę już dorosłych i towarzyszącéj im młodzieży, przed bacznym i spostrzegawczym wzrokiem weteranek i weteranów, dwie młode gąski przesuwały się zawsze razem, z lękliwie wyciągniętymi szyjami i oczyma szeroko otwieranemi przez niezmierną ciekawość świata, lub ukrywającemi się pod spuszczone powieki, przez wszystkie inne uczucia zwyciężającą nieśmiałość. Szczególnie i wyjątkowo już nieśmiałą była przyjaciółka moja Melka, która przez długie parę miesięcy po wyjściu swém w świat nie mogła tego wymódz na sobie, aby głośno i wyraźnie odpowiedzieć na jakiekolwiek zadane jęj pytanie, albo prosto w twarz spojrzeć na przemawiającego do nięj mężczyznę. Jeden z wesołych i lubiących facecye weteranów, sąsiad i dawny przyjaciel rodziców naszych, stał się z powodu tego zawziętym jęj prześladowcą.

— Panno Melanio — mówił — niech pani na mnie spojrzy! Proszę panią, niechże pani choć raz na mnie spojrzy!

Nic nie pomagało. Powieki, wykrojone w migdał i w długą rzęsę ślicznie ubrane, okrywały wciąż jęj źrenice, a tylko na ściągnęłą twarz o delikatnych rysach i białej jak lilia cerze występowały żywe rumieńce. Sąsiad upierał się przy swoim i z zupełną powagą proponował:

— Panno Melanio, niech pani wyobrazi sobie, że jestem naprzykład ścianą i spojrz na mnie!

Biała twarz, zalana rumieńcem i wyrazem wielkiego zmieszania, odwracała się nieco od natręta, wąziutkie usta ściągały się i układały w kształt pączka ponsowej róży.

— No, to niech pani wyobrazi sobie, że jestem piecem i spojrz na mnie!

Śmielsza nieco i dawniej wesołego sąsiada znająca, z niecierpliwością jęj szepnęłam:

— Spójrz-że już; spójrz! Co ci to szkodzi? Moja Melciu, spójrz-że!

Nakoniec powieki jęj podjęły się z wolna, a duże czarne oczy nie przemknęły po twarzy natrętnego sąsiada, jak się można było spodziewać, przelotnie i trwożnie, ale utkwily w nią błyszczące i rozgniewane spójżenia. Zresztą, znajdowanie się w salonie tego piętnastoletniego dziewczęcia nie dawało o nięm wyobrażenia prawdziwego. Gdy znikaly przyczyny załęknienia jęj i nieśmiałości, stawała się wcale inną istotą. Na prośbę jęj ojca, matka moja rozciągnęła nad nią owęj bawiącej się zimy swoją opiekę i uczyniła ją towarzyszką wszystkich moich występów w świecie. Przejazdżki, w celu użycia świeżego powietrza odbywane, wolno mi było czynić bez towarzystwa starszych; z radością zatrzymywałam się przed mieszkaniem Melki, lotem strzały wbiegłam na schody, zdala i głośno wołając, aby ubierała się coperędzej i ze mną jechała. Najczęściej wybiegała naprzeciw mnie, lekka, rumiana, z zawiniętymi rękawami sukni, w gospodarskim fartuszk, z czarnym warkoczem niedbale opadłym na plecy. Porywała mię i wodziła po wszystkich zakątkach obszernego i dostatniego mieszkania swego ojca, ukazując przedmioty swych zajęć i małych kłopotów. Najstarsza z osieroconego po matce rodzeństwa, była tu ona gospodynią, a potroszę i wychowawczynią młodszych dzieci. Mieszała się w sprawy kuchenne, kredensowe i edukacyjne z energią, której by się w nięj gdzieindziej ani domyśleć można; tworzyła plany urządzeń domowych, umeblowań, przyjęć, oszczędności i usiłowala je wykonać z zapalem, który zdradzał istotne powołanie do uścielania gniazd domowych, do nadawania wagi i wdzięku zjawiskom i obowiazkom powszedniego życia. Na stolach jęj leżalo mnóstwo ładnych i pożytecznych robótek, służący przychodzili do nięj po dyspozycyę i rozkazy. Pokazywała mi wszystko, opowiadała, wzywała rad moich co do zarządzania obiadami, przyjmowania ojcowskich gości, utrzymywania w rygorze dziesięcioletnich braciszków i sześcioletnich siostrzyчек. Wzajemnie, wszystkięm, co mówiła mi i powierzała, przejmowałam się szczerze i gęboko. Chwalałam, ganiłam, doradzałam, — Boże, jakież to być musiały sądy i rady! Ale ona przywiązywała do nich wielkie znaczenie. Cała drobna wątła postać i wszystkie rysy jęj delikatne twarzy zostawały wtedy w ustawicznym ruchu. Kiedy zasmuconą lub zakłopotaną była, cienkie jęj wargi zbiegały się w ten sposób, że wyglądały jak pączek ponsowej róży; kiedy się częm cieszyła, z czarnych jęj oczu strzelały snopy złotych promieni; gdy wpadła w zapał, ramiona jęj poruszały się żywymi giestami, ręce podnosiła ku głowie i koafiurę swą, pracowicie przez pannę służącą zbudowaną, tak niemi burzyła, że czarny warkocz falistym sznurem spadał na plecy, a loczki, które zwykle przysłaniały jęj czoło, podnosiły się i stawały nad niemi jak rozgniewane wężyki. Czasem przy tych wszystkich, bardzo poważnych rozprawach i naradach ogarniała nas taka ochota do swawoli, że zaczynałyśmy biegać po wszystkich pokojach, gonić się, grać w chowanego, śmiejąc się przytęm tak, jak niewolno nam było śmiać się gdzieindziej: głośnemi, długimi gamami śmiechu. Nie miewałyśmy wtedy ani wyciągniętych szyi, ani zbyt szeroko rozwartych lub lękliwie spuszczonej ku ziemi oczu, ani sztucznie poważnych ruchów, przypominających nastrożone i nieruchome skrzydła uczących się pływać gasek. Biegając, zaledwie dotykałyśmy ziemi, a w głowach, piersiach i na twarzach, czułyśmy upał najświeższej młodości. Gdy zdyszane, niewiedzięć częm tak niezmiernie rozweselone, z rozrzucanemi włosami i wykrzywionemi kokardami elegancjich sukienwbiegałyśmy do salonu, Melka padała na taboret, stojący przed otwartym fortepianem i prędko, szumnie poczynała wygrywać polkę lub walca. Młodsze rodzeństwo jęj, które w roli widzów i aktorów przyjmowało udział w gonitwach i grach naszych, uszczęśliwione rozpoczynało w takt jęj muzyki różne skoki, z których ona koniecznienie pra-

widłowe tańce uczynić pragnęła. I oto, zamieniałyśmy się obie w mistrzynię tańców, łącząc w pary chłopczyków i dziewczynki, nauczając je sposobów posuwania nóżkami w polce lub walcu, kręcąc się wraz z niemi, i jedna drugą co moment przy fortepianie zastępując. Powóz, którym przybywałam, stał sobie i stał przed bramą domu; stangret, niestety, aby nie zmarznąć w ten dzień zimowy, z całej siły uderzał rękoma o piersi i boki, a myśmy się bawiły tak dobrze i wesoło, jak prawie nigdy nie zdarzało się nam bawić gdzieindziej. Potem, gdy, przypomniawszy sobie przejażdżkę, siadałyśmy obok siebie w powozie i jeździliśmy czasem godzinę całą po ulicach miasta, dziw mię teraz zdejmuję na myśl, jak zupełnie byłyśmy nieświadome otaczającej nas ludzkości i doskonale dla niej obojętne! W mieście, podówczas bardzo ruchliwem i dość zamożnem, ludzie wszelkich stanów ruszali się, roili, szli, śpieszyli; myśmy jednak dla nich nie miały oczu, ani uszu, ani ciekawej lub współczującej uwagi. Ktokolwiek nie należał do koła znajomych naszychi na widok nasz nie składał powitalnego ukłonu, nie istniał dla nas. Ani promyka wiedzy nie było w nas o tém, co ci wszyscy ludzie robią na świecie, jak żyją, myślą, czują i cierpią, i ani iskry chęci dowiedzenia się o tém. Gdyby podówczas ktokolwiek nam powiedział, że same kiedyś w ten tłum nieznany wpadniemy, zmieszamy się z nim, wraz z nim pracować, za niego cierpieć i walczyć będziemy; z jakimże zdziwieniem wyciągnęłybyśmy nasze szczupłe szyje i z jakim przestachem rozwarłybyśmy oczy... tak była doskonałą nasza nieznajomość prawdziwego, wielkiego świata. O świecie wielki, o świecie piękny, a przecież nieszczęsny, który płynie oceanem niezliczonych i nieprzejrzalnych w rozmaitości swój zjawisk, jakże maluczkimi i bez winy własnej śmieszniemi były te dwie twoje kropelki, ubrane w ciepłe futerka i białe kapelusiki, które, patrząc na cię, ani wiedziały, że częstkę twoję stanowią, ani zapytywały czém jesteś, ani myślały o tém, co dla nich gotujesz!...

Tymczasem lubiłyśmy się coraz więcej i byłyśmy nawet gotowe do wzajemnych dla siebie poświęceń. Okazało się to wyraźnie dnia pewnego, w którym stoczyłyśmy z sobą wielką walkę wspaniałomyślności. Do miasta naszego przybyła zkądciś słynna z doskonałości swój trupa dramatyczna. Nowe źródło zabawy, ciekawość publiczna rozbudzona, radość powszechna wielka! Na pół godziny przed porą udania się do teatru, powóz po Melkę wysłanym został, a ja toaletę swą ukończyłam. Z rozkazu mojej matki i z najwyższą swoją radością włożyłam suknię najpiękniejszego pod słońcem różowego koloru, a ubiór ten matka moja własną ręką uzupełniła kilku bledszemi nieco różami, potem popatrzyła na mnie z kilku różnych oddaleń i z zadowoleniem wyrzekła: Bardzo dobrze! Co do mnie, głęboko i z rozkoszą czułam, że to jest bardzo, bardzo dobrze, że jestem tak ładnie ubraną i z niecierpliwością oczekiwałam zjawienia się Melki. Wbiegła też niebawem strojna także i uszczęśliwiona, ale gdy nas witała, po sposobie, w jaki się ściągnęły brwi mojej matki, spostrzegłam, że dzieje się z nami coś niedobrego. Jednak, według mego, dość już w tych rzeczach doświadczonego zdania, ubiorowi Melki nic do zarzucenia nie było. Suknia jęj posiadała najpiękniejszy pod słońcem kolor żółty, tak jak i bursztyny, które stroiły jęj szyję i czarne włosy. Nagle, gdyśmy przy sobie stanęły, matka moja parsknęła śmiechem.

— Tożecie się dziś dobrały! — zawołała — centyfolja i cytryna! Jeżeli w tych dwóch kolorach obok siebie siądziecie w łoży, ludzie nie z komedii ale z was śmiać się będą!

Potem poważnie już powiedziała mi, abym copędzj zmienila ubranie. Narazie rozkaz ten sprawil mi takie wrazenie, jak gdybym teraz zmuszona byla ukryc na wieki przed oczyma ludzi najlepsza swoja powiesc. Byla to najpiękniejsza moja suknia, w kazdej porze zycia czlowiek ma swego fetysza, i czem dzis dla nas jest dzieło mysli, i najdrozszych uczuc naszych, tem byl zawczoraj galganek. Musialam pomimowoli skrzywic sie, czy zalośnie mrugnac powiekami, bo Melka lotem strzaly wypadla z pokoju i, biegnac ku wyjściu, woiala: — Ja przebiorę sie! ja! ja! ja! prędko, prędziutko przebiorę sie i wrócę!

Zawstydzona ofiara, która uczynić dla mnie chciała, bo wiedzialam, że ta zółta suknia byla także oddawna przedmiotem jęj marzeń, dogonila ja i powstrzymac usilowalam. Ona bronila sie, i koniecznie wracac chciala do domu, aby przebrac sie w stroj mnięj swiezy i pozadany, ale do mego stosowniejszy, mocowalyśmy sie, jednoczesnie mówiac, zaklinalyśmy jedna druga w imię miłości dla ojca i matki i wzajemnej naszej przyjazni; zdaje mi sie nawet, że zaczynalyśmy plakac, gdy matka moja zakonczyla ten spór wspanialomyślności stanowczem rozporządzeniem, aby Melka zostala i cicho siedziala, bo mnie to, jako będącej u siebie w domu, wypada czynić dla gościa wszelkie ustępstwa i ułatwie-

nia. Przeciw wyrazowi „wypada” rekursu żadnego nie było. Melka wiedziała o tém bardzo dobrze, więc zasmucona nieprzyjęciem jój przyjacielskiej ofiary, została i cichutko w kątku usiadła. Gdyśmy potem z obu stron mojej matki siedziały w rzęsiście oświetlonej sali teatralnej, niezmiernie zaciekawione sceną, a w antraktach niezmierniej jeszcze zakłopotane skierowanemi ku naszej łoży spojrzzeniami i lornetkami, w dwóch tych cichych trusiątkach, czasem garbiących się nieco ze zmieszania, a czasem płonących od różnorodnych wzruszeń, nikt-by nie poznał dziewcząt żywych jak iskry i swawolnych jak dzieci, jakimi byłyśmy.

Wszystko to trwało tylko kilka miesięcy, po których byłyśmy obie zaręczonemi. W krótkim przeciągu czasu, który zaręczyny nasze z uroczystością weselną rozdzielał, rozmawiałyśmy czasem z Melką bardzo poważnie. Gdy wypadkiem gości nie było i nigdzie zaproszonemi nie byłyśmy, przy słabém świetle jednej palącej się w pokoju lampy siedziałyśmy obok siebie, na niskich, pod ścianą stojących stołeczkach i powtarzałyśmy sobie wszystko, cośmy kiedykolwiek słyszały i czytały o przeznaczeniu i obowiązkach kobiety. Zrazu było to rodzajem wydawania przed samemi sobą lekcji, której od pierwszych dni życia uczyłyśmy się na pamięć, lecz stopniowo w głębinach naszych istot mętnych i niczego dokładnie nieświadomych, zaczynały powstawać ruchy samoistne i żywe, choć błędne i bez stałego kierunku. Niewyraźne lecz poetyczne obrazy przesuwaly się, a raczej szybko mknęły nam przed oczyma. Te dwory wiejskie, do których uwieść nas miano, nieznanne nam jeszcze, stawały przed wyobraźnią naszą, otoczone wszystkimi pięknosciami i ponętami natury, a napełnione wdziękami i wykwiętami, o jakich tylko mogłyśmy mieć najslabsze choćby wyobrażenie. Roiliłyśmy także o jakichś wzniosłych cnotach, dobrych czynach, których natury i formy nie określałyśmy sobie wyraźnie, ale, o których mówiąc, czułyśmy silniejsze uderzenia serca i pomimo woli ścisakałyśmy sobie ręce. Były to zapewne echa, które, w tym ważnym momencie życia, przybywały ku nam od nauk, któremi napełniano nasze dzieciństwo, od zasłyszanych rozmów i kiedykolwiek przeczytanych książek. Zarazem przecież były to samoistne choć mętne popędy ku nieznanym jeszcze, lecz zdala dojrzanym wyżynom, bełkotliwie jeszcze przemawiające odgadywania poetycznych, czystych, nawet bohaterskich rysów świata i życia. I znowu, wśród tych rozmów, w głowach i na twarzach czułyśmy upał najświeższej młodości a na strunach naszych, pieśni, niedobrze przez myśl określane i z trudnością wyrażane słowem, ale gorące nadzieje i porywy, grały pieśń o mnóstwie splątanych tonów, z których najgłośniejszym była wielka radość życia i wielka wiara we wszystkie jegopiękne obietnice i wzniosłe rozkazy. Naturalnie, że w takim nastroju ducha długo trwać nie mogłyśmy i że rozmowa nasza wkrótce z uśmiechami i prawie z dziecięcym szczebiotem ślizgać się zaczynała po gałganach naszych wypraw i różnych błyszczących szczegółkach przyszłego, nowego życia. Jednak wracałyśmy często, choć na krótko do tematu: jakimi będziemy i co czynić powinniśmy? Raz, nie wiem zupełnie jakim uczuciem przejęta, lub jakim echem natchniona, z energicznymi gośćmi przyrzekałam jój i sobie, że zaraz po wyjściu zamąż uwolnię z poddaństwa włościan moich wsi posagowych; ona zaś, burząc swą fryzurę z loczkami, nakształt wyprostowanych węzyków stojącemi nad czołem, upewniała, że dom jój musi być rajem dla każdego, kto w nim żyć będzie, że nigdy nikomu nic przykrego nie uczyni i nie powie, lecz owszem starać się będzie każdemu przychodzić z pomocą i pociechą.

— Bo widzisz — mówiła z takim gestem, jak-by coś niewidzialnego porządkowała i pieściła — dom powinien być takim ładnym, cichym, wesołym gniazdkiem!...

Była ona moją druchną i po powrocie z kościoła w białej sukni i wianku z róż na czarnych włosach, nie wyciągając już szyi i nie spuszczać oczu, zapamiętała tańczyła z wysokim pięknym człowiekiem, który ją miał za kilka tygodni poprowadzić przed ślubny ołtarz. Wnet potem wyjechałam w dalekie strony i przez lat kilka ani jój nie widziałam.

*

Po kilku latach, w roku 1864 wróciłam do rodzinnych stron swoich i zaraz, przybywszy do tego miasta, od kogoś ze znajomych dowiedziałam się o Melce rzeczy bardzo podówczas codziennych i pospolitych, lecz zawsze zasmucających. Wskazano mi jój

mieszkanie; pobiegłam tam natychmiast i wkrótce wstępowałam na wschody wielkiego, kilkopiętrowego gmachu. Był to gmach noszący historyczne, wspaniałe imię, niegdyś królewski, ale podówczas w tak wielkim opuszczeniu zostający, że bardzo ostrożnie i powoli wstępować należało po jego na wpół spruchniałych, brudnych, pod stopami chwiejących się, trzeszczących i zapadających się schodach. Nad schodami wysokie sklepienia majaczyły w cieniach mnóstwem strzelistych i łagodnie zaokrąglających się luków; gdzieś tam szczupłe światło mętnego okienka padało na szczątki spłowiałej rozety lub arabeski; u żalomu schodów zwieszały się w powietrzu nawpół od ściany oderwane torsy i figurki bez głów i nóg, albo z twarzami, które przez czas i zniszczenie starły się w płaską i chropowatą powierzchnię. Z obu stron czarne ciemności napełniały głębokie framugi, a z za ścian grubych i próchniejących drzwi dochodziły śmiechy i śpiewy żołnierzy, którym tu wyznaczono tymczasowe miejsce pobytu. Mnóstwo też ich spotkać było można na schodach; wstępowali i zstępowali, prowadzili z sobą z piętra na piętro głośne rozmowy, nieśli w wiadrach zawieszonych na drągach wodę lub żywność, której wylizywali, w połączeniu z dymem najpośledniejszych tytoniów, napełniał to miejsce ostrą i odurzającą wonią. Wyżej żołnierzy już nie było, tylko przemykały czasem ciche i szybkie postacie kobiet otulonych w duże chustki, klapiących po schodach podartymi trzewikami, albo i całkiem boso, niosących w ręku węzłki z bielizną, garnki napełnione niesioną gdzieś strawą, dzbanki i wiaderka do czerpania wody. Widać było, że te wyżyny napełniała jakaś bardzo biedna przeważnie kobieca ludność, korzystając z niezmierniej taniości mieszkań w tym zrujnowanym, smrodami i krzykami napełnionym, lecz dogodnie, bo w środku miasta położonym gmachu. Zdziwienie moje, prawie przerażenie rosło z każdym krokiem. Tu więc znaleźć miałam Melkę...

Nakoniec na piętrze najwyższym otworzyłam drzwi, ukazane mi przez wysoką i bosą kobietę, w grubej koszuli i krótkiej spódnicy, która od początku wstępowała za mną na schody, z wielkim kosztem na plecach napełnionym bielizną, a teraz za mną także weszła do wskazanego mieszkania.

Znalazłam się w pokoju dużym, kościelnej prawie wysokości i u szczytu zamkniętym wspaniałe i głęboko sklepionym sufitem. Zrazu dostrzedz tam mogłam tylko ten sufit niezmiernie wysoki, łamiący się w harmonijne fugi i wgłębienia, prawie zupełnie czarny od starości, a także pod stopami podłogę z grubych przegniłych desek, brudną, zalaną strugami wody i mydlin, zarzuconą kupami mokrych płócien. Zresztą, powietrze było tu tak napełnione parą, ulatującą z kilku wielkich i wrzątkiem napełnionych balii, a także dymem wyrzucanym przez ogień, płonący w ogromnym kominie, że okna przeciwległe drzwiom, któremi weszłam, wyglądały jak dwie białawe plamki, a poruszające się około komina i balii kobiety, miały pozór niewyraźnych, bosonogich i rozczochranych widm. Kobiet tych było tam kilka. Szorowały one w baljach bieliznę, wyciskały z niej wodę, skręcały ją w grube sznury i stosami układały na podłodze i stołkach, rzucały w płomień żelazne dusze, wodziły po deskach rozpalonemi żelazkami, z których wychodził ostry swąd węglowego kwasu i łączył się w powietrzu z parą wrzątków, smrodem mydła, krztuszącym dymem i nieznośnym, w pot i omdlenie rzucającym skwarem. Była to więc pralnia, pełna spotniałych i rozognionych twarzy, piersi głośno dyszących, rąk czerwonych i ociekających szaremi płynami, a przytém rozmów swarliwych, czasem wybuchających kłótnią, czasem rozlegających się grubym śmiechem, lub stapiających się w długi monolog pojedynczego głosu i ustępujących przed milczeniem, napełnioném pluskaniem wody, trzaskiem ognia, brzękiem żelazek, klekotem dłoni trzępiących płótno, stękaniami, wydobywanymi z bark od wielu godzin zginanych, lub z piersi łaknących powiewu świeżego powietrza.

Tu więc znaleźć miałam Melkę...

Gdy się trochę lepiej w tém miejscu rozejrzałam, spostrzegłam rodzaj przepierzenia, utworzonego z cieniutkich desek, wysokością swą niesięgających jednej trzeciej wysokości pokoju. Był to raczej rodzaj parawanu, brzydkiej zielonawej barwy, który odosabniał małą część tego pokoju bardzo zresztą niedostatecznie, bo niskie i cieniutkie jego deski przedzielały szerokie szczeliny, a zamiast drzwi, miał on u swego końca wązki wprawdzie, lecz wszelkiego zamknięcia pozbawiony otwór. Przez ten otwór weszłam do miejsca bez nazwy, ale które najwłaściwiej można-by nazwać długą i wązką szczeliną, zaopatrzoną w jedno okno i tém osobliwszy kształt posiadającą, że jedna jéj ściana była niezmiernie

wysoka i prawie czarna, druga niziutka i zielonawa, a u szczytu wznosiły się wspaniałe, głębokie sklepienia, z majaczącymi liniami ciemnych łuków i wgłębień i z błyszczącym w jednym miejscu, pozostałym z prastarych i znikłych ozdóbulamkiem złożonego szlaku. Wszystko to ogarnęłam jednym zaledwie rzutem oka, bo z nad stołu, piętrzącego się różnokolorowymi włóczkami i mnóstwem innych przyborów do ręcznych robót, szybko i z krzykiem powstała szczupła postać kobieca i rzuciła mi się na szyję.

Szczupłą była zawsze, choć przez minione lat kilka zmężniała trochę i wykształtniała bardzo. Wzamian, od ciemnej i ubogiej sukni twarz jej odbijała prawie przezroczyście bladocią wielkich cierpień, a z pod czarnego warkocza nie wymykały się na czoło dawne figlarne i co chwila buntowniczo powstające loczki. W cieniu dwóch gładkich i czarnych pasm włosów, czoło to było zamyślane i dziwnie na jej wiek zestarzałe, bo legły już na niem cieniutkie i długie linie, zaczątki zmarszczek. Po pierwszej uciesze powitania i kilkunastu gorączkowo zamienionych pytaniach i odpowiedziach, z dawną żywością ruchów, tylko bez dawnych głośnych śmiechów, zaprowadziła mnie w głąb tej szczeliny i pokazała trzyletniego syna swego, głęboko w te ciężkie popołudnie letnie uspięnego na matczynym łóżku. Dziecko było ładne, złotowłose, rączki szeroko w śnie rozrzuciło, świeże wargi wyduło i, choć z kolei złożyłyśmy na nich pocałunek, nie obudziło się wcale.

— Jak dwie krople do ojca podobny... Pamiętasz go? Był bardzo przystojny, nieprawdaż? Teraz schudł i postarzał... Jaka to szkoda, że zobaczyć się z sobą nie możecie!

Jak niegdyś w cichym i łagodnie oświetlonym saloniku, tak i tutaj w tej dziwnej szczelinie usiadłyśmy pod ścianą przepierzenia na jakiejś niziutkiej ławce. Przepierzenie ani trochę tłumić nie mogło rozlegających się za niem hałaśliwych rozmów praczek i różnorodnych odgłosów ich pracy; górą płynęły i czasem aż w twarze nam buchały pary, dymy i przerywające je złote błyski ognia. Myśmy cicho mówiły sobie, że szybko zmieniły się czasy, że straszna burza zmaciła nasz świat i w niepojęty odmet wpadły dnie naszej młodości. Ona mi opowiedziała, jak ładnym i szczęśliwym było jej gniazdo, jak nagle zniszczonym zostało i jak ona z tym dzieckiem swoim wypadła zeń tu, na bruk miejski, pomiędzy tłum ludzi, którego dawniej ani znała, ani poznawać próbowała, a z którym teraz jednostajnie żyje i pracuje. Z praczkami temi mieszka, a raczej kącik ten od nich wynajmuje, naprzód dla tego, że jest bardzo tanim, a potem i najwięcej może, że jedna z tych kobiet była kiedyś służką domu jej ojca. Przytuliła się do niej niejako, za opiekunkę swą ją wzięła... zawsze to jest ktoś swój, dawno znany... Z ojcem być nie może, bo tu ją przykuwają uczucia i obowiązki, a i on zresztą z kilkorgiem młodszego jej rodzeństwa wpadł w wielkie kłopoty, dopomagać jej można, pisuje tylko często. Majątku już nie ma wcale, zarabia na życie wyrabianiem różnych przedmiotów z włóczki i bawełny, haftowaniem, szyciem, jak się zdarzy. Szczęściem jeszcze dla niej, że to wszystko umie, ale lubiła zawsze ręczne roboty. Umie też trochę gotować i sama sporządza pożywienie dla siebie i dziecka, szczególnie dla dziecka, tam u ognia, palącego się wечно na kominie praczek. Jada prawie to samo co praczki i pracuje tak samo jak one, innym tylko sposobem ale tak samo, od świtu do nocy prawie. Dwa razy na tydzień chodzi do więzienia, gdzie przebywa godzinę, zresztą, nie wychodzi nigdzie, bo i ochoty do tego nie ma i oszczędza obuwie i lęka się przebywać schody prawie ciemne, przegniłe, pełne ludzi nieobyczajnych i palących okropny tytuń. Jak długo przyjdzie jej żyć w ten sposób i co z nią stanie się potem, w najmniejszym stopniu przewidzieć tego nie może...

Tak mi się ona zwierzała bez krzyków i wyrzekań, nie łamiąc dłoni, ani szlochając, cierpliwa i cicha. Tylko jej małe ręce nieruchomo splotły się na ciemnej, ubogiej sukni i na schyłym czole wyraźniej stały się cieniutkie i długie linie... Ze swej strony nie miałam jej do powiedzenia nic wesołego. Szczęśliwsza od niej, tym, że pod starym dachem poojcowskim schronienie znalazłam, nie miałam już także swojego gniazda i na krótkiej drodze wiele swego bezpowrotnie pozostawiłam. Potem, powstawszy, stanęłyśmy przy oknie, którego szyby przez lat mnóstwo plókanie przez słoty i palące się w słońcu zmętniały i mieniły się przygasłymi barwami tęczy. Melka otworzyła je naostież. Nizko pod sobą ujrzaliśmy główny, środkowy plac miasta i początki kilku wypływających zeń ulic. Jakże odmienną postać przybrały te miejsca od tej, w jakiej ukazały się nam owe zimne zabawy i pustoty, owej pierwszej zimy naszego życia w świecie! Nie było teraz ani pięknych i licznych powozów i zaprzęgów, ani sklepów, napełnionych tłumami kupujących, ani okien, których wewnętrzne ozdoby zapowiadały mieszkania pełne dostatku i wykwintu.

U schyłku tego letniego dnia panowały tu wszędzie cisza i martwość, z suchego bruku ulic wiało skwarem i znużeniem; znużonym krokiem przebywali je rzadcy przechodnie, kilka dorożek ze śpiącymi dorożkarzami i drzemiącymi końmi nieruchomo stało u stóp gmachu. Wyżej za to, wysoko, pod błękitnym niebem, olśniewająco igrały wszystkie linie, barwy i blaski górne. Obłoki śnieżne, srebrzyste, różowe jak rubiny, opalowymi tęczkami nalane, złotem obrębione, wydłużone nakształt powiewnych szat, w regularne i wypukłe owale porznięte, postrzępione i przezroczyste jak podarte krepy, skrzydlate jak ptaki, płynęły górą, pojedynczo lub gromadnie, goniąc się, zlewając z sobą i rozdzielając znowu, niby radośne i świetne geniusze wolności i blasku. Zapatrzyłam się na tę szczęśliwość podniebną, aż uwagę moją zwrócił szelest ptasiego skrzydła, które tuż przed moją twarzą przeleciało. Była to jaskółka z łupem w dziobie, wracająca do uwitego pod gzemsem gniazda. Spostrzegłam zaraz, że nie była ona jedną, ale, że było tu ich mnóstwo. Przypatrzywszy się dostrzegłam nawet wiele gniazd, pouczepianych do wszystkich gzemśów i framug; daleko więcej zostawać musiało niewidzialnymi, ale istnienie ich zdradzał wirujący dokoła budowy prawdziwy rój ptasi. Ze swém podłużnym ciałem, białymi piersiami i czarnym szafirem skrzydeł, spadały one niejako z góry, albo wznosiły się w górę, odlatywały trochę, wnet wracały, zakreślały w powietrzu koła i zwroty, zwieszały się nad gniazdami, karmiąc małych, albo siadały na gniazdach, okrywając je ciepłem drgających skrzydeł. I tak jak w chórach niebieskich obłoków, dziwna lotność i wesołość panowały w tym ptasim narodzie.

Długo patrzałam na ptaki, z radośnym szczebiotem krążące dokoła gniazd swoich; Melka patrzała na nie także. Potém spojrzaliśmy wzajem na siebie i z piekącymi łzami w źrenicach, jednomyślnie rzekliśmy obie:

— Szczęśliwe jaskółki.

*

Po wielu latach, znowu o schyłku pięknego dnia letniego, szłam ulicą, prowadzącą ku owemu staremu gmachowi, teraz bezludną i cichą jak grób. Lecz był to grób upalny, duszny, z dwu stron opasany wysokimi ścianami, a za wieko mający długi pas błękitu, po którym płynęły niebieskie dyamenty. Dołem słał się wązki szlak gorących kamieni, okryty warstwą popiołu i garbami gruzów, a wysokie ściany stały z obu stron jego bezludne i nieme; z rozwartymi szczerbami swych nagich wierzchołków, niedoścignionymi okiem rzędami martwych otworów. Powierzchnie ich pałały czerwonością ogołoconych cegieł, wśród której rozwierały się próżnie szerokie, napełnione ciemnością, pełną majaczących i powikłanych zarysów zniszczenia. Zewsząd tu wiało śmiercią i pustką; na warstwie popiołu okrywającej kamienie, nie było nawet śladu stóp ludzkich. Nikt tędy nie chodził i nie przejeżdżał, bo droga ta do niczego już i do nikogo nie wiodła. Może jakieś ocalałe myszy przebiegały jeszcze spodem tej mogiły; tłum ludzki, który ją przedtém napełniał, wyparły ztąd furje ogniste i ptaków nie było; spłonęły albo frunęły daleko, gdzież-by żyć miały, gdy przez rozwarłe próżnie wyzierały gdzieniegdzie suche, sztywne, zczerniałe skielety pomarłych drzew.

Jednak nagle o słuch mój uderzył ogromny krzyk ptaków i szumny łoskot ich skrzydeł. Spojrzałam w górę. A! dom Batorego! Ta sama ściana, którą niegdyś dziecięcym oczom moim ukazywała pomarszczona dłoń mojej babki! A tam wysoko, to okno, przez które niegdyś dwie młode kobiety, z sercami pełnymi ruin przyglądały się szczęściu jaskółek. Ale teraz i jaskółki już gniazd swych nie mają. Ogromnym stadem wzbily się nad wierzchołki ścian nagich, wyzębionych, obleczonych w ponurą czerwoność i wyprawiają w powietrzu zawrotny taniec rozpaczy. A powietrze tam w górze takie przezrocze i czyste jak kryształ: drgają w niem złote iskry i unoszą się dwie wielkie gromady. Wyżej, we wdzięcznej i lotnej gonitwie igrają obłoki śnieżne, srebrzyste, różowe jak rubiny, opalowymi tęczkami nalane, złotem obrębione, niby radośne i świetne geniusze wolności i blasku. Niżej ptaki czarne, zdjęte szaleństwem bólu i trwogi szukają swych gniazd zburzonych. Było ich mnóstwo. Jedne latały wciąż wkołko, wkołko, z rozwartych dziobów wydając przeciągłe wołania; inne wzbijały się wysoko, jakby swą skargę pod błękitny nieś zamierzały, lecz wkrótce, z obwisłymi skrzydłami, spływały ku dołowi, na ostre kanty padając białymi piersiami. Były też takie, które z wydłużoną szyją zaczynały lecieć kędys

w linii prostej, naóślep, i błyskawiczny zwrot czyniąc w powietrzu, niewiedzieć dlaczego i poco znowu wracały tam, dokąd ich przyciągała niezmierna siła pamięci. Nad ruinami te nieszczęsne ptaki wydawały się falującym skrzydlatym całunem. Wydawały się one jeszcze wojskiem, rozbitym przez siłę przemożną i z resztkami niewygasłego męztwa, obiegającym pole straconej bitwy...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/z-pozogi>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Drobiazgi*, własność, nakł. i druk S. Lewentala, Warszawa 1892.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0671-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).